Kamena

Dwutygodnik literacki ▪ 30.I.57 ▪ 2 zł

Rok XXIV Nr 119-120

1957 1-2

LUBLIN

Świadectwa łączności

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Od Redakcji

Począwszy od niniejszego numeru „Kamena" będzie się ukazywać 15 i 30 każdego miesiąca jako dwutygodnik w zmienionym formacie. W ten sposób pismo wchodzi w nowy etap swego istnienia: 1) mała „Kamena", miesięcznik literacki wydawany w Chełmie od roku 1933 do wybuchu wojny, 2) wznowiona mała „Kamena" lubelska, miesięcznik a później kwartalnik literacki od roku 1945 do 1949, 3) duża „Kamena", organ lubelskiego oddziału ZLP, kwartalnik społeczno-literacki, a w ostatnich dwu latach miesięcznik, — od roku 1952 do 1956 włącznie i 4) obecny dwutygodnik.

Już ostatni grudniowy numer miesięcznika stanowił zapowiedź zmian mających nastąpić w dwutygodniku.

Zgodnie z życzeniem Oddziału zamierzamy wrócić do dawnych tradycyj pisma i poświęcić je głównie literaturze pięknej. Oprzemy się przede wszystkim na lubelskim aktywie pisarskim ze starego i młodego pokolenia z uwzględnieniem zdolniejszych jednostek z byłego Koła Młodych. Zdając sobie sprawę z tego, że lubelski ośrodek literacki przy największym jego zaktywizowaniu i zmobilizowaniu wysiłków na razie przynajmniej jest nie wystarczający, nie zasklepimy się wyłącznie we własnym środowisku, ale będziemy również zamieszczali utwory kolegów z innych oddziałów, których zapraszamy do współpracy z „Kamenąą". Postaramy się nawiązać kontakt z niektórymi pisarzami na emigracji. Nie zapomnimy też o początkujących literatach i jeśli ich utwory będą miały wartość świadczącą o bezsprzecznym uzdolnieniu autorów, będziemy drukowali je w dziale debiutów. W większym stopniu niż dotychczas uwzględnimy przekłady literatury obcej, klasycznej i współczesnej. Rozszerzymy dział recenzyj.

Powiązanie z regionem znajdzie wyraz w odpowiednich reportażach i artykułach o życiu kulturalnym Lubelszczyzny, o pracy lubelskich związków twórczych.

Nowy charakter „Kameny" nie pociągnie za sobą całkowitego wyrzeczenia się dobrej publicystyki, która zawsze była uwzględniana w pismach z epitetem „literacki" (przedwojenne „Wiadomości Literackie", dzisiejsze „Życie Literackie"). Jeśli jakiś problem będzie wymagał użycia takiej właśnie formy, uciekniemy się i do niej, ale wystrzegając się nudy, która cechowała próby tego rodzaju w ubiegłym roku.

Stawiając przed sobą takie zadania, zdajemy sobie sprawę z tego, że nie będą one możliwe do osiągnięcia od razu i wymagać będą pewnego okresu czasu, a przede wszystkim maksymalnego wysiłku ze strony literatów lubelskich, na których głównie oprze się pismo. Czy eksperyment się uda, okaże się w przyszłości.

Niniejszy numer ukazuje się w końcu miesiąca ze względu na reorganizację „Kameny" i opóźnienie drukarni, spowodowane nawałem jej pracy w okresie przedwyborczym.

Wśród problemów, które drążą uporczywie umysł pisarza walczącego w PRL o nieuszczuplone tradycje literatury, jednym z najbardziej zawikłanych jest problem łączności z pisarzami polskimi na emigracji. Dziś, sądzę, nastała sposobna pora do poddania go w świecie literackim gruntownej dyskusji. Program odnowy będący już treścią naszego codziennego życia i pracy odniósł tak wielkie zwycięstwo w wyborach dlatego, że najistotniejszym jego założeniem jest suwerenność i demokratyzacja, a środki urzeczywistnienia podyktowane są trzeźwą myślą polityczną. Te trzy zasadnicze elementy programu, które spełniły znakomicie rolę spójni pozwalającej społeczeństwu polskiemu na wzniesienie się ponad wszelkie podziały, mogą stać się punktem wyjścia do rozszerzenia Frontu Jedności Narodu przez włączenie weń całych rzesz rodaków spoza granic państwa. Przeglądając numery paryskiej „Kultury" z ostatnich kilku miesięcy nie trudno wysnuć wniosek, że porozumienie z wielu kolegami literatami przebywającymi na emigracji da się osiągnąć, rzecz prosta, przede wszystkim na gruncie wydawniczym. Chodziłoby więc, ściślej mówiąc, o wznowienie krajowych wydań ich książek przedwojennych, o wydanie w Polsce wartościowszych prac napisanych na emigracji, ogłoszonych drukiem za granicą bądź dotąd nie wydrukowanych — i wreszcie o zamieszczanie ich utworów w krajowych periodykach.

Jak wiadomo, wydawnictwa nasze zwracały się niejednokrotnie do poszczególnych pisarzy emigracyjnych z tego rodzaju propozycjami. Wywołało to wreszcie w pewnych kółeczkach, warzących się we własnym sosie, groteskowe wzburzenie, które znalazło ujście w zeszłorocznej londyńskiej uchwale walnego zjazdu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Ta krótkowzroczna rezolucja, powzięta w dniach naszego wielkiego października, nacechowana niesmacznym patosem, pouczała członków związku i pisarzy do niego nie należących, że „zgodnie ze swą uchwałą z 1947 roku, winni nadal powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne". Jest rzeczą znamienną, iż na 113 zarejestrowanych członków Związku Pisarzy za uchwałą głosowało zaledwie 23. A trzeba przy tym wziąć pod uwagę — dodaje „Kultura" — że szereg pisarzy, nawet najwybitniejszych, do Związku nie należy.

Redakcja „Kultury", oceniając negatywnie rezolucję uchwaloną przez przypadkowe grono osób, przeprowadziła wśród literatów nie należących do Związku i tych, którzy nie uczestniczyli w rzeczonym zjeździe, ankietę, prosząc o zajęcie stanowiska w powyższej sprawie. Odpowiedzi rychło napłynęły w wielkiej obfitości, lecz redakcja odłożyła ich omówienie do numeru styczniowego w nadziei, że obrady zapowiedzianego w Kraju Walnego Zjazdu Związku Literatów pozwolą uchwycić cały nurt współczesnej literatury polskiej. O znacznej dozie obiektywizmu świadczy następujący komentarz redakcyjny: „Jeżeli weźmie się pod uwagę czołową rolę, jaką w Polsce odegrała literatura w ostatnich czasach i jakie ogromne zadanie stawia przed nią najbliższa przyszłość — waga, jaką do jej rozwoju przywiązujemy, oraz niepokój, jaki wywołują w nas próby jej zglajszaltowania czy wykorzystania, zarówno w kraju jak i na emigracji — staną się dla czytelników naszych zrozumiałe".

Materiał uzyskany dzięki ankiecie „Kultury" wróży, moim zdaniem, najlepiej dla porozumienia naszego z pisarzami polskimi przebywającymi na obczyźnie. Przytłaczająca większość zdecydowanie potępiła nieprzejednaną postawę londyńskiej grupki zacietrzewieńców. Bardzo charakterystyczny jest np. głos Marii Czapskiej (Maisons Laffitte), zastanawiającej się nad upartą niechęcią, z jaką niektóre środowiska emigracyjne odnoszą się do kulturalnych instytucji w kraju: redakcji, wydawnictw, akademii itp. „Smutny ten objaw zastanawia dzisiaj — pisze Czapska — kiedy kontakty z ludźmi z kraju są liczne, różnorodne i całkiem swobodne. Że instytucje te są kontrolowane jak i cały naród, cały kraj — o tym wiemy, ale wiemy dziś również, że ich bezpartyjni, a nawet nieraz partyjni kierownicy, są Polakami takimi jak i my, a w każdym razie stojącymi bliżej sprawy polskiej aniżeli my po kilkunastu latach odcięcia od kraju, Polakami, których cele i dążenia zbiegają się na niejednym odcinku z naszymi".

Ciekawą myśl zawiera wypowiedź K. A. Jeleńskiego (Paryż), który, wspominając o „granicach geopolitycznych możliwości", mówi m. in.: „W krajach o ustroju parlamentarnym, opozycja współpracuje z rządem, gdy nakazuje to interes ogólnonarodowy. Podobną rolę, moim zdaniem, powinna dziś spełniać emigracja, nie tyle wobec rządu — którego nie uznaje i który jej nie uznaje — ile wobec narodu, który rząd ten z takich czy innych względów popiera".

Dodajmy, że większość wypowiedzi cytowanych z numeru grudniowego „Kultury" nadeszła wówczas, kiedy ogół literatów emigracyjnych nie mógł jeszcze należycie ocenić zasięgu przemian październikowych.

Warto też przytoczyć trafną uwagę Pawła Hostowca (Bern): „Za wszystkich czasów literatura znajdowała się pod uciskiem cenzury, wymykając się próbom podporządkowania jej celom uznanym za użyteczne przez tyranów czy też przez większość obywateli. Wolność literatury streszczała się zawsze do tego, czego w tych ciasnych nieraz granicach pisarze potrafili dokonać i ile z swej potrzeby niezależności zdołali przekazać czytelnikom. Na uchylanie się od przymusu nie ma recepty, jak nie ma jej na talent i wyobraźnię".

Znajdujemy wśród materiału ankietowego także sporo głosów świadczących o głębokim zrozumieniu sytuacji w Polsce: „Uchwała podjęta na *Finchley Road* — pisze Tadeusz Nowakowski (Niemcy), — zredagowana w stylu, który zwą w kraju „drętwą mową", jest niepokojącym świadectwem (nie

(Dokończenie na str. 2)

JAROSŁAW ŁUKAWSKI

Amsterdam, Sint Olafssteeg

Świadectwa łączności

(Dokończenie ze str. 1)

pierwszym, niestety!) rosnącego izolacjonizmu środowiska polsko -londyńskiego i jego oddalania się od Wisły. Przyjaciele, nie nadążacie! Uchwała Wasza nie dostrzega przemian, jakie zaszły ostatnio w życiu politycznym i kulturalnym Kraju. Gdyby redaktorzy uchwały wczytali się uważniej w ostatnie artykuły „Nowej Kultury", „Przeglądu Kulturalnego", „Po prostu" (od bardzo dawna nie było nad Wisłą tak świetnie redagowanego i żarliwego pisma!) czy choćby "Życia Warszawy", może by doszli do odważnego wniosku, że okopywanie się pisarzy londyńskich (nie wszystkich) na gruncie rejtanowskiej uchwały z roku 1947 jest już anachronizmem. Tysiące młodych, odważnych, myślących patriotów toczy dzisiaj w Kraju trudną i ryzykowną walkę o polityczną, gospodarczą i kulturalną de-satelizację Polski, o więcej suwerenności państwowej, o więcej demokracji (w „demokracji ludowej"), o więcej sprawiedliwości społecznej, o więcej świeżego powietrza w łodzi podwodnej. Zaraz mnie grzecznie pouczą, że tam jest komunizm, totalizm, monopartia, cenzura. Wiem o tym, ale pamiętam równocześnie, że przed wojną mój ojciec co kilka miesięcy wędrował do więzienia za artykuły pisane przeciwko rządowi... Protestuję przeciwko istnieniu Jaworzna, chociaż i przed Jaworznem były u nas obozy odosobnienia". Podobny sens ma wypowiedź Klary Szpakowskiej (Montreal), która kończy swój list zdaniem: „Nie należy zapominać, że mimo niepodległościowych uchwał — oni, nie my — są w wolnościowej awangardzie Polski, że błądząc przez wiele lat, a może dzięki tym błędom — oni, pisarze w Kraju, a nie pisarze emigracyjni budują nową Polskę". Zdaniem autorki wypowiedzi, „program przemian polityczno-ekonomicznych wprowadzany w życie przez nowe władze (Wł. Gomułka), odpowiada polskiej racji stanu chwili obecnej. W ramach tego programu pisarze emigracyjni powinni współpracować z narodem, włączyć się w nurt ewolucji dziś, zaraz; służyć sprawie dalszej demokratyzacji słowem, doświadczeniem, wiedzą: drukować w Kraju książki, publikować w Kraju artykuły, esseje, polemiki". Posłuchajmy też Henryka Schoenfelda (Kanada), który mówi: „Literatura jest częścią kultury narodu i nikt nie powinien ze względów politycznych — a więc tylko doraźnie ważnych — odbierać Polakom prawa korzystania z polskiej kultury. Byłoby to równie samowolne jak sekwestrowanie skarbów wawelskich w Kanadzie".

Można by mnożyć i mnożyć analogiczne cytaty. Nie brak w wypowiedziach szyderczych uwag na temat „ukazu" grupki londyńskiej, która chce, jak się wyraził Gombrowicz, uszeregować pisarzy, „maszerować nimi", używać ich do jakichś nacisków i demonstracji". Miłosz odpowiedział lakonicznie: „Do Związku nie należę. O co chodzi w tej uchwale nie rozumiem. Jest ona w rażącej dysproporcji do wydarzeń w Polsce i świecie. W sprawie drukowania w Kraju solidaryzuję się całkowicie ze stanowiskiem „Kultury". A w liście Marii Kuncewiczowej (z Nowego Jorku) znajduje się m. in. takie zdanie: „Jako rzeczy oczywistej, nie potrzebuję podkreślać tej siły moralnej, którą pisarz czerpie z rezonansu — choćby najbardziej krytycznego — w Kraju swojego języka". „Nawet nie bardzo idealna Polska jest moją Ojczyzną i nic nie może mi sprawić większej radości, jak najmniejszy bodaj promień nadziei, który dla niej zaświeci" — napisał z Brazylii M. B. Lepecki.

Emocjonalnym momentem w zapoznawaniu się z materiałami ankiety była dla mnie odpowiedź Czesława Straszewicza z Niemiec: „Jakoże mój literacki dorobek emigracyjny jest skromniusieńki, jakoże w ideologicznych i finansowych pertraktacjach jestem kiepski,... jakoże do zbiorowych uchwał rzadko kiedy czuję nabożeństwo — podsumowawszy to wszystko doszedłem do przekonania, iż najlepiej będzie, jeśli korzystając z tej ankiety, problematycznym reflektantom na moje płody, wszystko co napisałem, zaofiaruję za Panie Boże zapiać... Te słowa stukając na maszynie — w podświadomym skojarzeniu mam przed sobą widok ulicy Polnej i Placu Żelaznej Bramy w Warszawie. Ciekawe, nie?" Wreszcie podróżnik-alpinista Wiktor Ostrowski, od dłuższego czasu odcięty od tego, „co potocznie nazywamy cywilizacją", zaszyty w tropikalne lasy i łowiący ryby - potwory w Górnej Paranà, odpowiadając grubo po terminie wyznaczonym w ankiecie, nazywa uchwałę londyńską skandalicznym nonsensem, równoznacznym z opuszczaniem „żelaznej kurtyny". „Przed dwoma miesiącami — mówi Ostrowski — otrzymałem zapytanie od wydawnictwa w Polsce — czy nie zgodziłbym się na wydanie mojego *„Mas alto que los Condores"* w Kraju. Naturalnie wyraziłem zgodę. Mało tego — c i e s z y ł e m s i ę!"

Cytowałam *in crudo*, bez komentarzy, wnioski nasuwają się same. Chodziło mi, jak widzi czytelnik, o naszkicowanie nastrojów panujących wśród pisarzy emigracyjnych, rozproszonych po świecie. Słyszeliśmy bezpośrednio ich głosy. Są w ankiecie nazwiska o większej lub mniejszej wadze literackiej, lecz każdy głos jest głosem Polaka. Z tym trzeba się poważnie liczyć, bo, jak słusznie powiedział Juliusz Mieroszewski we wrześniowym numerze „Kultury", — żaden rząd na dłuższą metę nie może sobie pozwolić na „luksus" ignorowania siedmiu milionów Polaków zagranicznych. Wśród tych siedmiu milionów jest, zdaje się, ponad dwustu literatów. Wyciągnijmy do nich czym prędzej dłoń ponad kordonem. Klimat różnych środowisk pisarskich na emigracji pozwala na przypuszczenie, że większość naszych kolegów skorzystałaby skwapliwie z możliwości porozumienia. Tendencja ta zaznaczyła się już na spotkaniach w czasie lipcowego Kongresu PEN-Clubu w Londynie.

Któż właściwie byłby przeciwny porozumieniu się pisarzy polskich wbrew odległościom, jakie ich dzielą od siebie na globie ziemskim? Niewielka grupa osób, które utraciły „wyczucie pulsu narodowego". Mieroszewski daje świetną charakterystykę tego typu ludzi w numerze 1—2 „Kultury" z rb., mówiąc: „Świat emigracyjny wypracował swoje własne kryteria ocen i wartości. Można być znanym pisarzem na emigracji będąc zupełnie nieznanym w Kraju. Mamy własne nagrody, własną giełdę wielkości i snobizmów literackich, własne sławy i „bestsellery", własne wzloty i upadki. W tej klateczce emigracyjnej niejeden wróbel uwierzył, że jest orłem. Gdyby klatkę otworzyć, mogłoby się okazać, że naszym orłom brak już tchu, by wzbić się w powietrze.

Ludzie, którzy w wymiarze emigracyjnym rozbudowali swą sławę i twórczość, instynktownie boją się otwarcia klatki i konfrontacji z szeroką, polską rzeczywistością. Ci panowie dosłownie heroicznie walczą o zachowanie zrębów świata emigracyjnego i podpierają klateczkę ze wszystkich stron — by przedłużyć trwanie układu, który zapewnia, że jest się kimś tu, choć się jest niczym tam.

Co stanowi dominantę najświeższych wypowiedzi pisarzy polskich w Kraju? Wolność — suwerenność — problematyka nowego ustroju.

Co stanowi dominantę literatury emigracyjnej? Wspominki i jeszcze raz wspominki".

I Mieroszewski stwierdza w konkluzji, że wynik ankiety był miażdżący dla panów, którzy powzięli antykrajową uchwałę. Miażdżący nie tylko w sensie liczby potępiających głosów, ale i jakościowo: odmówili jej poparcia najwybitniejsi pisarze.

Jakiż jest końcowy wniosek z obrazu nakreślonego przeze mnie słowami polskich pisarzy emigracyjnych? Wnioski są dwa: primo, że należy czym prędzej udostępnić naszemu społeczeństwu wartościową część ich dorobku twórczego w postaci książek i secundo, że trzeba jak najszersze grono tych pisarzy wciągnąć do naszych jawnych dyskusji publicystycznych. Wartość takich otwartych polemik nie ulega już dziś chyba żadnej wątpliwości.

Wiem, że pozostaje jeszcze strona finansowa sprawy (dewizy!), ale to już domena ekonomistów. Sądzę, iż problem to niezbyt ostry, skoro większość pisarzy skłonna była zrzec się honorariów na korzyść rodzin w Kraju bądź nawet na cele publiczne — chociażby na budowę Biblioteki Narodowej.

Mimo istnienia wszelkich odcieni w poglądach i nawet, oczywiście, zasadniczych różnic, współpraca nasza z pisarzami emigracyjnymi zapowiada się bardzo realnie na bazie trzech podstawowych elementów programu Frontu Jedności Narodu, o których mówiłam na wstępie, a którymi są: suwerenność, demokratyzacja i taktyka polityczna licząca się z topografią i kalendarzem.

Maria Bechczyc-Rudnicka

ANNA MARKOWA

Walne zebranie

Obiad podano obfity jak zawsze. Gotują tu może trochę za tłusto, ale w gruncie rzeczy wszystkim to smakuje. Zarządzająca domem i jej pomocnice są miłe. To bardzo ważne. Bywalcy domu nie lekceważą tej pozornie błahej sprawy. Znużeni obradami, przygotowując w myśli okrągłe zdania na popołudnie, z przyjemnością poddają się kulinarnej troskliwości kobiet, cicho i skrzętnie sprzątających talerze, podsuwających chłodny kompot i biały wełnisty krem.

Nie wiadomo dlaczego teraz właśnie, w pełni lata, krem kojarzy się Wandzie ze śniegiem. Pięknie musi wyglądać ten dom w zimie. Zresztą nie warto o tym myśleć. Tak często tu przyjeżdżają, a teraz jest upalny sierpień i za oknem szaleje burza zieleni. Wystarczy wyjść na ganek, oprzeć się o drewnianą balustradę i patrzeć w las. Las otacza dom dookoła i to właśnie daje dziwne poczucie oderwania, powagi chwil. Oprawa ich długich, kilkudniowych narad. Oprawa całej tej prawdy i skupienia. To też ważne. A jednak niepokój. Za chwilę Miroń będzie przekonywał, tłumaczył, delikatnie dawał do zrozumienia... Będą się z nim godzili, no nie, trochę dyskutowali, ale wreszcie... Są przecież ważni, chociaż nigdy nie próbowaliby manifestować tego w sposób prostacki. Są eksperymentem, każdy z nich jest częścią wielkiego eksperymentu. To im daje działanie i spokój. Dwie rzeczy, które tak trudno, diabelnie trudno połączyć.

Skrzypią ławki. Swoją drogą to też świetne połączenie. Drewniane proste ławki i ich finezyjne, skomplikowane ustalenia, problemy, wiary. Wanda nie je już kremu. Przeciska się wąskim korytarzem do sali narad. „Sala" — to za szumnie powiedziane. Właściwie coś jakby urocza świetlica w górskim schronisku. Schodki z rzeźbioną poręczą do pokoi na górze, weranda. Dom za żółtymi... no, raczej za zielonymi firankami. — Wanda myśli opieszale, jakby na marginesie czytania kartek z notatkami, układania słów. — To byłoby jednak trochę kabotyńskie motto wiersza. Zresztą przecież i tak nikt tego nie wydrukuje, a już na pewno nie Miroń.

Za godzinę kończy się przerwa. Ostatni dzień zebrania. Sprawy organizacyjne. Zazwyczaj to drobnostka — parę jakichś awansów, przeniesień. Po co Miroń i tamci zostawili na to tyle czasu? Może chcą wcześniej skończyć? — Wanda jest zmęczona. Warto by wziąć leżak do lasu, zamknąć oczy, nie myśleć. Siada na ganku. Dlaczego właśnie dzisiaj tak mocno odczuwa osamotnienie Janusza i Mariana. I tamtych kilku, których tu nie ma. Przecież tak jest od dość dawna, przynajmniej od paru miesięcy. Powiedzieli prawdę? No cóż, może to właśnie ta chłodna rzeczowość, o której mówi Zarząd, wierność i ufność, przede wszystkim ufność.. Ostatecznie to nie jest takie złe. Daje cierpką przewagę w stosunku do zgorzkniałych, sceptycznych. I ten dom...

— Wiesz, już za dziesięć czwarta. Wyglądasz zmęczona, a to się pewnie przeciągnie. Obawiam się, że właśnie dzisiaj my... — Wanda z trudem podnosi oczy. Janusz. Jest trochę blady, zdenerwowany. Marian właśnie wchodzi na schody, trzyma pod ramię Stefana. Mówi coś żarliwie, szybko. — Po co to wszystko, przecież to i tak już przesądzone. U nas nie ma miejsca na... prawdę, ach nie — na słabość, oczywiście tylko na słabość. Ale Janusz i Marian... I tamci. To niemożliwe... — A głośno, patrząc na Janusza mówi: — Skądże, jesteście przewrażliwieni. Przecież byliście z nimi tyle lat, no i ostatecznie muszą wiedzieć, że wy naprawdę nie chcecie... — Janusz przecina powietrze ruchem ręki. Wanda czuje się trochę oburzona. Dlaczego sądzi, że ona nic nie rozumie? To prawda, w Kwietniowie wszystko wydaje się prostsze. Dla nich Zarząd — to właściwie ugrzeczniony Miroń i Jadwiga. No i ten dom do walnych zebrań. W Kwietniowie też jest dużo pracy. I nie ma czasu na podejrzliwość. To przecież taka piękna sprawa. Widocznie trzeba ufać.

Miroń zaczyna powoli, staccato. Oddziela słowa, mówi bez wzruszenia, równo. — Muszę się z kolegami podzielić... Pewne, bardzo przykre sprawy... Wszystko jest jasne, ale trzeba, żeby obecni wiedzieli i osądzili... — Osądzić? Przecież oni nic nie rozumieją, dosłownie nic. Nie dowiedzą się nawet połowy tego, co ona... Krzywe zwierciadło... — Wandzie wydaje się, że jest bardzo spokojna. Potem z popłochem spostrzega, że ołówek rytmicznie drży w jej ręku. Zapala papierosa. Mocno, z całej siły opiera rękę o blat stołu.

Teraz Miroń mówi dobitnie, patrzy na Janusza i Mariana. Właściwie czyta. Protokół zdrady. Tak to określa co kilka zdań — zdrada, zdrady, do zdrady... Wanda jakoś dziwnie z boku, jakby spoza tej sali — chwyta nastrój obecnych. Posmaczek sensacji i grozy. Tak, to niestety właściwe słowo. Ma niemądre uczucie, że za chwilę wstanie i powie, krzyknie głośno: — Przecież wy nic nie wiecie, nic! Dlaczego wierzycie Mironiowi? — Nie, nie można tego powiedzieć. Niech wierzą... — Mimo woli Wanda przenosi wzrok na Jadwigę. Tamta siedzi wyprostowana. Czyżby triumf? Wygląda jak ktoś, kto dawno wiedział, przewidział, ostrzegał... Jadwiga nie jest prosta. Ale czyżby aż tak?...

Wanda oddycha ciężko, jak w męczącym śnie. Na pewno wystarczy tylko poruszyć się, dotknąć ręką twarzy, żeby wszystko znikło. Koledzy, przyjaciele... Tyle lat wspólnej pracy i walki. Nie, nie krępują jej wytarte, stale używane słowa „praca i walka". To było właśnie tak! A teraz. . Przecież to ukartowana gra... Miroń, Jadwiga... Ale nie robią tego na własną rękę. Więc cały Zarząd?... Lepiej nie myśleć. Nikt nie może od niej żądać, żeby odeszła, właśnie teraz, razem z Januszem i Marianem. Chociaż powiedzieli prawdę. Prawdę o Mironiu i Jadwidze. O ostatniej akcji. O nich wszystkich... Nie, nie potrafi odejść —

Patrzy na Janusza. Widzi tylko jego rękę, która porusza się szybko, coraz szybciej. Janusz rysuje kółka na pokrywce od papierosów. Małe i większe. Masę kółek.

Miroń skończył. Wanda wie, że nikt nie odezwie się, nie zaprzeczy, nie zapyta o nic. Ona także nie. Milczenie przytłacza. Ktoś wstaje powoli, z wysiłkiem. Janusz?... Tępy strach, który nie chce przerodzić się w słowa — słuchaj, nie trzeba, naprawdę nie trzeba. To i tak nic nie pomoże. Jesteś już wrogiem. Popatrz na nich, popatrz na tę salę. Teraz, zanim zaczniesz mówić... — Ale Janusz mówi. O swojej pracy. O sytuacji na północy kraju. Tak jakby ciągnął dyskusję z poprzedniego dnia. Potem krótka przerwa. Wahanie? Zaczyna z trudem — ...a nasza sprawa... To nieprawda, że zdradziliśmy. Już wtedy, w maju, wezwaliście nas...—

Miroń wstaje. Garbi się trochę, obie dłonie na stole — ...Odbieram wam głos. Słuchajcie, to doprawdy zbyteczne. — Przybiera ton bolesno-ojcowski. — ...Przedstawiłem zebranym materiały... Wydaje się, że każdy dojrzały działacz doskonale rozumie... Zarząd postanowił skreślić was z listy członków... To chyba wszystko. —

Znowu milczenie. Monotonnie szeleści papier. Przeglądają notatki, z nadmierną troskliwością wertują je, układają. Krystyna gorączkowo szuka czegoś w torebce. Skrzypią drzwi od hallu. Zarządzająca przenosi lampy do jadalni. Smuga blasku przesuwa się po ścianach, potem prześwieca przez uchylone drzwi. Jadwiga podpisuje delegacje. Andrzej staje na ganku. Na tle szarych o zmierzchu drzew rysuje się jego ostry profil. Wanda widzi każdy szczegół osobno. Zupełnie tak, jakby przesuwały się przed jej oczami kadry jakiegoś, prawie niemego filmu...

Walne zebranie dobiega końca.

FLISACY

EUGENIUSZ GOŁĘBIOWSKI

(„Flisacy" jest to powieść historyczna przedstawiająca przygody flisaków w czasie ich żeglugi szkutą zbożową spod Kazimierza do Gdańska (w. 16). Drukujemy fragment tej powieści obrazujący zawinięcie statku do Kazimierza. (Red.)

„Warwara", głęboko w pół burty zanurzona, ociężałym ruchem odsunęła się od brzegu i dziób jej, kołysząc się statecznie, skierował się w dół rzeki.

Krzyknęli coś oryle, ze statków stojących u bindugi zawołano: Boże prowadź! i coraz to szersza przestrzeń wody oddzielać zaczęła szkutę od lądu, a gdy już dostała się na środek nurtu i wiosła ruszyły równym uderzeniem, bieg jej stał się szybszy a kadłub jakby ożył. Była w swoim żywiole niby ryba w wodzie.

Nastawało właśnie południe. Z północy nadciągały płowe chmury i zasnuły szczyt nieba a razem z nim i słońce. Woda nabrała blasku miedzianego i, tocząc mętne fale pokryte grzybami żółtej piany, czyniła wrażenie jakiejś groźnej, niszczycielskiej siły.

Widziane ze środka rzeki lasy i pagórki malały, kurczyły się jakby w trwodze przed żywiołem wodnym, tu i ówdzie pobłyskiwał jakiś domek kredowy i zaraz znikał za pagórkiem, wnet i dzwonnica bernardynów kołczyńskich ukryła się za garbem brzegu i tylko rude pasy starej rokiciny obrzeżały wodę wezbranej rzeki.

„Warwara" płynęła po środku Wisły, tam, gdzie nurt był najsilniejszy. W płowym świetle dnia połyskiwała z dala jak potwór wodny pokryty miedzianymi łuskami, z szyją wysoko ku górze wyciągniętą. Garbata była po środku i zadarta na zadzie. Biegła po powierzchni wody, przebierając wiosłami niby tuzinem połyskujących, cienkich nóżek.

—o—

Słońce pochylało się już ku zachodowi, gdy flisowie ujrzeli na lewym wysokim brzegu Wisły janowiecki zamek. Potem z ciemniejącego zmierzchu wyłaniać się zaczął Kazimierz. Sczerniał pobliski las i Wisła stawała się szara, jakby ołowiana, gdy nagle błysło na wodzie pierwsze światełko i cienkim grotem przebiegło w poprzek rzeki. Za nim drugie i trzecie, a gdy „Warwara" minęła zakręt, rozświetliła się przed nią Wisła od brzegu do brzegu. Odbiła się w niej jak w zwierciadle cała góra Kazimierzowska, kładła się na wodzie poświata latarń portowych i ognisk flisackich, pobłyskiwały okna licznych śpichlerzy i domów piętrzących się wysoko na stromym brzegu, a górował nad wszystkim czerwony płomień latarni tkwiącej na szczycie wieży zamkowej. Latarnia ta, zapalana co wieczór, wskazywała drogę statkom przybijającym do portu kazimierzowskiego.

Kazimierz był w owym czasie jakby małym Gdańskiem — pobrzeże jego dzieliło się na kilkanaście bindug, miało trzy duże przystanie dla szkut, pół mili długi port zbożowy wzdłuż 40 śpichlerzy i na trzech kępach kilka tak zwanych „kątów orylskich".

Spośród świateł i cieni zaczęło się przed „Warwarą" wyłaniać olbrzymie rojowisko statków, łodzi, pomostów, kęp i tratew. Coraz to musiał sternik obracać „Warwarą", aby nie zawadzić o jakiś statek, nie wjechać prosto w jakąś bindugę, nie uderzyć o pale pomostu.

Szyper stał na sztabie i coraz to wołał: Wara! Bakor! Sztyber! Sternik biegał po budzie i tańczył przy rudlu tam i sam. W końcu musiał zwolnić biegu, bo wołać zaczęto z lewa i prawa, machać latarniami, łajać zuchwałego szypra i na gwałt ustępować przed napierającą olbrzymią szkutą. Szyper miał kocie oczy, w mig rozeznawał kształty statków w migotliwym świetle a że krotochwilny był, więc coraz to komuś wjeżdżał sztabą „pod nos", albo trącał dziobem to czółno, to łódź. Fabijanek i Stanaszek wystawili na drągach dwie latarnie i co chwila krzykami ostrzegali przed niebezpieczeństwem. Szyper odpowiadał śmiechem i po staremu figlował.

Mijała „Warwara" duże, ładowne szkuty, małe dziobate kozy, czworogranne dubasy i lichtany — aż w końcu pozostawiwszy za sobą największą gęstwę statków, przesunęła się wzdłuż śpichrzów i wiosłami hamowana, w ukośnym biegu skierowała się ku brzegowi. Stamtąd ktoś zawołał:

— Ej tam! Trzymaj pannę!

Zabłysło światło latarni i ukazał się czeladnik palowy. Rzucono mu linę. Za chwilę „Warwara" stuknęła o pal.

—o—

W pogodną noc flis nie nocował na statku, lecz wychodził na ląd, rozpalał ognisko, warzył strawę a potem, po spożyciu wieczerzy okręcał się w kożuch i kładł do snu. Na statku jednak zawsze ktoś zostawał na „warudze".

Pierwsi wyskoczyli na ląd panowie, Marek w białym żupaniku przy szpadce i pan Chrzanowski z lutnią w ręku. Za nimi wyłądowała cała załoga. Jedni wzięli się do rozpalania ogniska, inni ruszyli do miasta...

Rojno było wszędzie i gwarno. Słyszałeś nawoływanie flisów, krzyki przekupniów sprzedających chleb, piwo, kiełbasę, makuchy. Snuła się wszędzie służba pańska, wrzask czynili binduźnicy, targ odprawiali wąchornicy, to jest kupcy zbożowi. Uwijali się tam i sam dziegciarze, gonciarze, klepcarze, kupcy polscy, niemieccy, holenderscy a nawet i angielscy. Wszystkim spieszyło się, bo właśnie woda była na „spust" najlepsza.

Wybrali się do miasta Miętus, Jasiek-Pijanica, Fabijanek-Skrzypak i poważny Łasz-Bugaj, a wzięli ze sobą Filipka, aby mu pokazać gród, którego jeszcze nie widział.

Weszli na rynek. Tłoczno tu było jak w czasie jarmarku, a najwięcej uwijano się koło wozów, które przyjechały z dalekich i bliskich stron, z Lublina, Lewartowa, Kurowa, Ciepielowa, Goraja, przywożąc ziarno, popioły, miody, skóry i inne towary, aby je stąd z Kazimierza drogą wodną dalej „frochtować" do Warszawy, miast mazowieckich, kujawskich, pruskich i aż do samego Gdańska.

Gospody, jedna pod „Książęciem", druga pod „Pinką" a trzecia żydowska Joszima — pełne były gości a w kamienicach na rynku świeciły się wszystkie okna. Wszędzie goszczono przybyszów, biesiadowano, handlowano. Tu i ówdzie słychać było muzykę, flety, skrzypce, gitary a najuroczystszy był dzwon, który co kwadrans odzywał się z wieży kościoła farnego.

Na środku rynku, przy studni, zobaczyli flisowie jakiegoś człowieka, który rzewnie płakał. Odziany był w mieszczańskie szaty, krótki kaftan. „Pluderhozy" opinały mu tłusty brzuch. Lamentował człek ów i coraz to podbiegał do jakiegoś przechodnia, błagał o coś, klękał, płakał.

Wreszcie otoczył go tłum gapiów i ktoś powiedział: — To Kalpetrzyk-Lubelczyk. Uciekł mu szyper i nieborak już trzeci dzień biega po mieście za frochtem, 12 beczek miodu ma w porcie i terminowy frocht a tu każden się wymawia, bo szkuty wszystkie po brzegi ładowne a kazimierzowskie już odpłynęły. Biega tedy lamentak i płacze".

— Et — machnął ręką Jasiek-Pijanica — łyk jako wieprz a płacze, widać miał rozum tamten szyper, że mu uciekł.

I wszyscy trzej poszli dalej oglądać złocone kamieniczki i schody marmurowe wiodące do pałacyków pańskich a Łasz-Bugaj tłumaczył towarzyszom to i owo:

— Tam, — rzekł, — wskazując na wąską kamienicę o ostrej szczytnicy, — Gdański Dom, handle w nim się największe odprawiają a obok zielona kamienica Angielczyka Wilsona. Ten kantor ma w Kazimierzu a w porcie własne szkuty i własnych flisów, którym płaci za spust olenderskim złotem. Człek możny, ale wiara szpetna, bo błędy wyznawa i Maryi Panience bluźni, za co łońskiego lata piorun trzasł w jego dom. Strych się spalił, ale Wilsonowi nic, bo go czart osłonił.

— Olaboga! Zawołał Filipek.

W końcu zeszli ku portowi głównemu, aby przyjrzeć się pańskim szkutom. Stały tam wielkie statki szlacheckie i gdańskie a przy jednym zgromadził się tłum ludzi. Patrzyli wszyscy na obraz ponury: U sztaby statku wisiał jakiś człowiek. Był półnagi i uwiązany do sztaby za ręce i nogi.

Ludzie patrzyli na niego z daleka. Bliżej podejść nikt nie śmiał, bo stał przy nieszczęśniku pachołek z mieczem w garści. Na twarzach patrzących malowała się litość, ale ów nieszczęśnik, choć wisiał na haku, jak wieprz w rzeźni, żałości nie okazywał. Coraz to podrywał głowę, wykrzywiał się na gapiów, jęzor im pokazywał, pokrzykiwał i charczał. Jakiś Niemiec w skórzanej czapeczce i w kaftanie kwiecistym nagle klęknął, pocałował kamień i z szlochem pobiegł precz, jakaś baba chlipnęła i z dala czyjś gruby głos groźnie coś perorował jakby ksiądz na kazaniu.

Nagle tłum zafalował i kilku ludzi wysunęło się ku szkucie, ale zaraz musieli się cofnąć, bo strażnik ruszył mieczem i zawołał gromko:

— Ej! Nic tu po was! Nic tu po was, ludkowie. Idźta precz!

Spytał Łasz pewnego mieszczanina, za co ta kaźń owemu chłopu, a ów:

— Biegun to, JWP Gostomskiemu ze szkuty zbiegł. Jutro będą mu ucho obcinać, przyjdźcie o wschodzie słońca a zobaczycie.

Flisowie opuścili port i postanowili jak najprędzej wrócić do swoich. Filipkiem aż trzęsło z wrażenia. A poważny Łasz-Bugaj mówił:

— Że mu tam ucho obetną, to mała jeszcze bieda, inszym szubienicę na czele wypalają, albo żyły podrzynają, aby nie biegali.

Przy ognisku zastali kłótnię. Wrzeszczał na kucharza Stanaszek, że sadła pożałował do krup.

Nabrał każdy do garnuszka glinianego krup gorących, chlebem zagryzł i chmurzył się, bo rzeczywiście: jadło było mdłe i chude. W końcu ozwał się Jasiek-Pijanica:

— Stary Pan wódki dał na popasie i kiełbasy nie żałował, a ninie suchedni będą.

— A będą, a będą — potwierdził nabożny Chadała. Jak się ludzie panom przeciwiają, to i suchedni będą. Nie masz pokory to i łaski nie masz. — Przy tych słowach spojrzał na Hanusa-Drwala.

Ten siedział po tatarsku, zasępiony, ale kiedy usłyszał o łasce pańskiej, rzekł:

— Psia ich łaska była.

— Pyszcz, pyszcz — mruknął sternik Leluja — a nam będzie bieda.

Chadała podjął swoje:

— Pacierz zmówić, śpiew nabożny podjąć, a nie pyskować nam, bo bieda na nas będzie i nie frocht, jeno kaźń.

Na to Łasz-Bugaj!

— Idź do portu, tam człek wisi na sztabie i jutro będą mu obcinać ucho. A Hanusowi nie krzywda? Zali mu Pan dziewuchy nie popsował?

Zaśmiał się na te słowa Leluja sternik:

— Czortków Anulka nie święta była, dziecięciu da pijawek i nie Hanusowa sprawa jeno panicza.

Jasiek wyciągnął z zanadrza flaszę gorzałki, łyknął tęgo i do Łasza-Bugaja:

— Wielka mi sprawa Anulka Czortkówna.

— A jakby ci Pan kobyłkę odsednił, nie pyszczyłbyś? Zapytał Łasz.

— A pyszczyłbych, bo co kobyłka to nie dziewucha.

Zaległa cisza. Każdy rozważał, co ważniejsze: kobyłka czy dziewucha. W końcu ozwał się rotman Wrzosek-Drygawka, który dotąd milczał:

— W Zielonce parobcy dwaj o dziewuchę się porżnęli, a tak się zawzięli, że jeden drugiemu nożami lelita wywlókł. A o dziewuchę poszło.

I już się żaden nie odezwał. Ten i ów okręcił się w kożuch do snu a Fabijanek-Skrzypak wyjął z węborka skrzypki i zaczął cichutko grać. Któryś zanucił:

Dobra nocka, dobra —
Dziewczyno nadobna!
Bodajś zdrowo spała
W rucianym wianeczku,
W białym łóżeczku.

Smyczek podrygiwał i cieniusieńko płakały skrzypki a tamten zawodził:

Dobra nocka, dobra —
Dziewczyno nadobna!

Odwrócił się Hanus od ogniska i łeb wtulił w kożuszysko, aby nie słyszeć śpiewania.

Dokoła ciemniało już. Noc spowijała miasto i port, tylko na pobliskiej kępie płonęły jeszcze ogniska i hałasowali oryle. Ogień przy „Warwarze" dogasał. Strudzona frochtem załoga spała już snem twardym, tylko dwaj flisowie nie kładli się do snu, Fabijanek-Skrzypak i Miętus. Jeden pociągał smyczkiem po strunach wiejskich skrzypek, a drugi słuchał go jak urzeczony.

FRAGMENT POWIEŚCI

Salon Mic
w Pa
(1912

EDWARD

Wspomnienia moje o najbliższej rodzinie Adama Mickiewicza sięgają martwej już i bardzo odległej od życia dzisiejszego epoki — ostatnich lat przed pierwszą wojną światową. W kilkanaście dni po zapisaniu się na wydział literacki Sorbony, zanim jeszcze zdołałem rozejrzeć się w mieście, w życiu uniwersyteckim i w stosunkach paryskich, zwykłą koleją rzeczy starać się musiałem o kartę wstępu do Biblioteki Narodowej francuskiej na rue Richelieu, gdzie zażądano ode mnie listu polecającego — albo od ambasady rosyjskiej — ze względu na przynależność państwową — bądź też, jak to było w zwyczaju — od „Monsieur Mickiewich". Od bardzo długich lat omijano w ten sposób ambasadę, co było zresztą i milsze, i bezpieczniejsze dla Polaków, bardzo niechętnie udających się do carskiego urzędu na rue de Grenelle, gdzie każda sprawa zaczynała się od indagacji i okazywania paszportu. Nie wszyscy zresztą mieli ów ważki dokument — mnóstwo Polaków jeździło przez kordon pruski czy austriacki za byle przepustką, a wtedy świat stał już otworem, nie legitymowano bowiem nikogo na żadnej innej granicy.

Pan Władysław Mickiewicz był wówczas delegatem krakowskiej Akademii Umiejętności i kierownikiem Biblioteki Polskiej przy Quai d'Orléans, 6, w domu Zamoyskich, na wyspie św. Ludwika. Zgłosiłem się do niego z dokumentami uniwersyteckimi i wydanym już tomikiem poezji. Spojrzał bez zainteresowania na książeczkę i posłużyła mu ona jedynie do starannego wykaligrafowania mego nazwiska na kartce, którą mi wręczył. Żegnając się ze mną wypowiedział stosowną do wszystkich nowych znajomych formułkę:

— Przyjmujemy naszych polskich gości w poniedziałki, po obiedzie, od ósmej na rue Guénegaud 7, trzecie piętro. W tonie jego słów dźwięczał raczej nakaz, aniżeli uprzejmość — trochę pontyfikował i uważał odwiedzenie jego i jego rodziny za obowiązek każdego Polaka, stawiającego pierwsze kroki w Paryżu.

Pan Władysław — jak go nazywano powszechnie — był krzepkim, dobrze trzymającym się starcem wysokiego wzrostu, z dość bujną białą brodą i siwą grzywą à la Beethoven, spadającą mu aż poza kołnierz. Chodził zawsze w czarnym żakiecie i w czarnych spodniach, z czarną szeroką chustką jedwabną, zawiązaną w kokardę pod szyją. Na ulicy nosił czarny miękki kapelusz z bardzo szerokimi rondami. Nigdy nie widziałem go w płaszczu — w deszcz czy w zawieję zawsze szedł pieszo na kilometrowym blisko odcinku nabrzeża Sekwany, między mostem la Tournelle a Mennicą, na wprost której mieszkał. Tę okolicę można by nazwać sercem Paryża. Na lewym brzegu rzeki zaczyna się Łacińska dzielnica. Skupione tam nadbrzeżne pałace i nieliczne domy czynszowe mają widok rozległy — dwie wyspy na rzece, św. Ludwika, na której znajduje się Biblioteka Polska — i druga — „wyspa Grodu Starej Lutecji" — Ile de la Cité, nad którą wznosi się szara, ogromna, czysta w swoim stylu staro-gotyckim katedra Notre Dame, z dwiema uciętymi wieżami i wielką strzałą żelazną na skrzyżowaniu naw głównych. Widać plac przed katedrą i dalej dopiero, w głębi, posępny budynek szpitala, a na węższej stronie przeciwnej, na wprost Notre Dame, równie ponury jak szpital wielki gmach prefektury policji.

Idąc dalej, na zachód, mija się plac św. Michała z wielką, przylepioną do muru między dwiema ulicami, piętrową fontanną z archaniołem, i schodzi się o parę metrów niżej, na Quai des Grands Augustins. Widok stamtąd zaczyna się rozszerzać. Kończy się wyspa — stoi na jej cyplu pomnik Henryka IV, tego, który powiedział, że „Paryż wart jest wysłuchania mszy" — gdy porzucił teologiczne nowinki i w ten sposób dorwał się do korony.

Za pomnikiem, nisko, nad wodą, na języczku ziemi, jest jeszcze ogródek — dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż, na którym rosną wierzby płaczące. Tam, na wprost prawie ogródka, zaczyna się obok Mennicy wąska, dość niepozorna ulica Guénegaud, w jednym z domów której, starym, posępnym jak wszystkie wokoło, na trzecim piętrze, na które wchodziło się po stromych, niewygodnych schodach drewnianych, mieścił się przez lat kilkadziesiąt ośrodek myśli Mickiewiczowskiej w Paryżu. Nic tam z okien nie widać prócz ponurych dachów i martwych w nocy okien Mennicy. Wchodziło się do tego domu z oczyma pełnymi jeszcze strzelistego piękna Notre Dame, spokoju kamiennego pobrzeża z tysiącami pudeł handlarzy starych książek na murze, od strony wody — otwierającego się nagle, znad wierzb płaczących ogródka wyspy widoku na Luwr, na prawym brzegu Sekwany, na łuki mostów, na gęstwinę drzew Tuileryjskiego parku — młodych, bo wszystko wycięto w pień podczas oblężenia 1870 roku.

Mieszkanie państwa Mickiewiczów było niewielkie, od strony ulicy dość spory salon i mniejszy od niego pokój jadalny, z oknami wychodzącymi na ciemną i ciasną klatkę podwórza. Musiały tam być obok ze dwa pokoje sypialne, których nikt nigdy nie widział. W salonie, między oknami, wisiał znany portret poety, pędzla Wańkowicza — Mickiewicz na skałach Czatyrdahu — najpiękniejsza ze wszystkich nagromadzonych tu pamiątek, których było zresztą niewiele. Meble nie przedstawiały nic godnego szczególniejszej uwagi, krzesła, fotele może z czasów Ludwika Filipa, a prędzej z końcowego okresu Drugiego Cesarstwa, kiedy to pan Władysław Mickiewicz, księgarz, urządzał skromne mieszkanie, żeniąc się z panną Malewską, ze związanej z ruchem filareckim rodziny. Były to typowe meble, spotykane w domach francuskiego mieszczaństwa — mahoń czy fornir, z czerwonym pluszem, poczerniałym miejscami i nieco wytartym. Mebli tych było sporo, wyglądało nawet na to, że jest ich za dużo — ale zdarzały się wieczory, kiedy młodzi musieli podpierać ściany, tyle osób bowiem przewijało się przez to skromne mieszkanko — gdzie jedni zjawiali się w poczuciu kultu poety, inni przez ciekawość i snobizm, jeszcze inni przez wdzięczność za okazaną przez pana Władysława pomoc, a starzy bywalcy po prostu z przyzwyczajenia — bo te poniedziałki mickiewiczowskie były jakby częścią paryskiego obyczaju. Był w tym domu jakby szelest przeszłości — były pierwsze wydania dzieł wielkiego Ojca gospodarza domu, który pokazywał je chętnie i komentował. Było coś jeszcze w tych murach, coś, co tu jakby żyło, a w zakurzonych salach biblioteki na wyspie stało się martwe, była żywa więź najbliższej rodziny Adama, a to się czuło, i to właśnie w domu tym było najważniejsze, i więcej we wrażeniu ważyło, niż fakt, że poniekąd dom ten uosabiał nieistniejącą ambasadę polską i skupiał polskie nici w Paryżu. Nas, młodych, pociągało coś jeszcze — było w tych ścianach nie tylko echo tęsknoty „Pana Tadeusza", ale i tradycja „Trybuny Ludów" — tej myśli żywej, która wyrwała się z grzęzawiska chłonnej towiańszczyzny, podjęła wątek rozpędu Wiosny Ludów i na jesieni życia poety skrystalizować się zdołała — jeśli nie w program — bo za dużo w tym było utopii i chaosu — to w każdym razie w drogowskaz, kierunek niewidocznej jeszcze przyszłości i lepszego jutra — a nie bezdroża tęsknot umarłych i gnijących już jak liście jesienne.

I właśnie tu, na odcinku ostatniego okresu życia poety, w naświetlaniu rewolucyjności jego ostatniego na tym świecie zrywu pan Władysław był najbardziej interesujący. Młodzież, garnąca się do niego, zawdzięczała mu wiele, właśnie w tej dziedzinie, właśnie w przeciwstawieniu do utartych sądów o Mickiewiczu noszącym stempel krakowski. Mogłem te rzeczy docenić już wtedy — a dziś, po latach, kiedy opadło mnóstwo zasłon dymnych, otaczających postać poety — widzę tym wyraźniej, że syn Adama, pomimo wielu nieścisłości i stronniczych zastrzeżeń w swych wypowiedziach, zdobył się na poważny wkład w dziedzinie upowszechniania brakującej nam wszystkim łuny ważkości prądu myślowego „Trybuny Ludów".

Przez kilkadziesiąt lat trwały te „poniedziałki". Setki, tysiące młodych przewinęły się przez ten salon. Dowiedzieli się tam oni mnóstwa anegdot z życia poety, dostrzec mogli jakby koloryt ostatnich lat jego życia, lecz stokroć ważniejsze były tu żywe akcenty, obrazujące — nie tego Mickiewicza w gipsowym odlewie, ze zwitkiem papierów w dłoni, do którego przyzwyczajono się w Polsce, ale Mickiewicza z epoki buntu, z epoki wielkiego zrywu, kiedy walczył sam z sobą, ze swoją własną przeszłością i z pustym echem barskiej piosenki, tułającej się bez końca w kostniejącym zaścianku emigracji. Jawił się tedy przed oczyma słuchaczy inny jakiś Mickiewicz, nie ten wzorcowy, o którym w krasomówczej swadzie mówił na Uniwersytecie Jagiellońskim stary Stanisław Tarnowski — nie ten, którego wciąż widział oczyma wyobraźni zakochany w mistyce mesjanizmu, czysty jak łza, uczciwy, dostrzegający to tylko, co szczytne i piękne, najuczeńszy z ówczesnych profesorów literatury Marian Zdziechowski. W tym ciemnym, niezbyt schludnym, przeładowanym gratami salonie o wypełzłych i zakopconych tapetach stawał jednak przed oczyma nas młodych inny Mickiewicz. Ten, o którym można było mówić jako o wodzu narodu, wydarty z dymów kadzidła, małomieszczańskiego ideału i podfałszowanego dagerotypu moralnego. Za to właśnie dźwiganie na piedestał swego wielkiego Ojca, za ukazywanie innego jego, ideowego oblicza — i to w obecności wciąż innych przybyszów z kraju, na przestrzeni paru pokoleń, należy się Władysławowi Mickiewiczowi głęboka wdzięczność. Trwał on na posterunku jak stare drzewo nad grobem, osłaniał pamięć ojca jak mógł, wpadał niejednokrotnie w błędy, wykazywał jednostronność w swym kulcie, przeinaczał niektóre jakty, posuwał się nawet ku rozpaczy uczonych, profesorów i wścibskich anegdociarzy do niszczenia całego mnóstwa cennych materiałów biograficznych w naiwnej, bezradnej, często wstydliwej pieczołowitości synowskiej — ale trudno jednak, mimo wszystko, zająć jakieś stanowisko niechętne wobec pamięci tego człowieka. Gdyby go nie było, na przestrzeni tylu tysięcy narodowych nocy w Paryżu, gdyby odciął się od ludzi, przyjeżdżających setkami z Polski — tej żywej więzi z pamięcią twórcy Pana Tadeusza zabrakłoby w Paryżu, nie zastąpiłyby jej kółka emigranckie, przytułki św. Kazimierza, nawet zbiory biblioteczne na wyspie. Byłaby pustka — jak kiedyś pustka wielka rozpełzła się na świeżych jeszcze śladach ścieżek kopernikańskich, i tyle wieków przetrwała. Musimy dziś mozolnie wydzierać ślad Kopernika z nieznanego, a może i nie istniejącego grobu. Pan Władysław potrafił jednak przekazać pamięć poety pokoleniom następnym w niemalże dotykalnej, opierającej się skostnieniom formie. Nie książkowej, — żywej. I to właśnie sprawiło, że salon Mickiewiczów w Paryżu był cząstką przędzy historii.

Zanotować tu trzeba jeszcze jedną okoliczność, o marginesowym zresztą znaczeniu. Katedrę literatur słowiańskich po Mickiewiczu zajmował niejaki Louis Léger, złośliwy starzec, odnoszący się i do swego wielkiego poprzednika, i do spraw z kulturą polską związanych niechętnie, a czasem nawet z jakąś upartą zajadłością.

Collège de France, jak wiadomo, jest uczelnią otwartą, nie wydającą stopni naukowych, nie było więc najmniejszej potrzeby uczęszczania na jego wykłady, odbywające się zresztą nie w gmachu przy rue des Ecoles, lecz w jego prywatnym mieszkaniu. Działał tu jednak urok następstwa po Mickiewiczu — interesowało mnie, jak ustosunkowuje się do wielkiego Adama ta właśnie instytucja, w której porywał tłumy. Wybrałem się na wykład pana Léger i zastałem w jego mieszkaniu ze dwa tuziny studentów polskich, przeważnie panienek, notujących każde jego słowo. Odrzuciło mnie od zjełczałego starca od razu. Wyrażał się on lekceważąco o Mickiewiczu, a ze specjalną lubością atakował język polski, wyławiając w nim naleciałości obce, wydrwiwając formy języka, zależność od łaciny etc. W ten sposób można by dojść do wniosku, że język angielski nie jest w ogóle językiem, ale zlepkiem narzeczy celtyckich, germańskich i łacińskich. Rzecz prosta, nigdy w życiu nie zetknąłem się już więcej z tym tępym zarozumialcem. Był on poniekąd wyrazicielem mieszczańskiego poglądu ówczesnych Francuzów, rozentuzjazmowanych francusko-rosyjskim przymierzem i lokujących swe oszczędności w 8% pożyczce rosyjskiej, podczas gdy banki francuskie płaciły 2,5%. Śpiewano wówczas w Paryżu na bulwarach „vive le tsar, mangeons du caviar, buvons du samovar"— niech żyje car, jedzmy kawior, pijmy z samowaru. W atmosferze tego carofilstwa następca Mickiewicza na katedrze Collège de France ośmielał się szargać jego pamięć, pokpiwać z kontrastu między napoleonizmem poety, bzdurą towiańszczyzny i rewolucyjnością „Trybuny Ludów", nie rozumiejąc nic w gruncie rzeczy i chyląc pokornie czoło przed aureolą caryzmu.

Drugą osobą, którą mam wciąż przed oczyma, obok pana Władysława, myśląc o wieczorach Mickiewiczowskich na rue Guénegaud, jest starsza córka poety, pani Maria z Mickiewiczów Górecka, ta właśnie, do której, krótko przed śmiercią, wielki jej ojciec napisał ów przecudowny ostatni swój list z podróży po morzach greckich. Jest to może jeden z najpiękniejszych listów w przebogatej epistografii całokształtu kultury świata.

Pani Maria, dobiegająca już wówczas chyba osiemdziesiątki, twarz miała jakby ze starego portretu, uśmiech pogodny, sposób bycia miły i prosty — i ani śladu tego wyrazu, który jakby oznaczał w sylwetce pana Władysława — „ja jestem synem Adama". Było w niej coś z aureoli tego greckiego listu, pasującej znakomicie do cichej, skupionej, pogodnej twarzy, w której żaden nerw nigdy nie zadrżał zbędnym jakimś, czy niezharmonizowanym odcieniem. Patrząc na nią można było zrozumieć, że największy z poetów polskich taki właśnie list zaadresował właśnie do córki Marii. Była ona dość małomówna — trudno zresztą było nie milczeć w tym otoczeniu, gdzie wciąż pan Władysław sypał anegdotami i jakby przewodniczył w zebraniach, na których był mówcą jedynym. Zagadnąłem ją kiedyś o ten grecki list:

— Owszem, umiem ten list na pamięć, odparła. I nie usłyszałem o nim nic więcej. Nie sposób było walczyć z jej uśmiechem i prosić o szczegóły. Nie udało mi się również usłyszeć od niej nic o Chopinie — skinęła tylko głową i powiedziała, że go dobrze pamięta — a chodziło przecież głównie o ten wieczór ostatni 1849 roku, gdy Chopin grał u Mickiewiczów.

Pani Góreckiej towarzyszył zwykle jej syn, dr Ludwik Górecki, lekarz. Miał sposób bycia francuski, trochę się jakby odcinał od towarzystwa, trzymał się zawsze tuż obok matki. To przywiązanie do niej było jedyną cechą dostrzegalną naprawdę w jego naturze z litewska jakby skrytej, a z francuska nieprzystępnej i chłodnej. Nic nie mówiono o bliskiej jego rodzinie — dowiedziałem się dopiero ostatnio, że istnieje syn jego, a więc prawnuk Adama, spadkobierca wszystkich pamiątek rodzinnych, pokazanych w Paryżu na wystawie Mickiewiczowskiej 1955 roku.

Pani Władysławowa była zawsze na „poniedziałkach" obecna. Towarzystwo, interesujące się tradycją Mickiewiczowską, skupiało się zwykle w salonie, obok obojga gospodarzy. Inni goście, przeważnie malarze i dziennikarze, siedzieli najchętniej w jadalni, gdzie królowała panna Maria Mickiewiczówna, którą uroczysty nastrój salonu cokolwiek nużył. W jadalni było zawsze bardzo wesoło, schodzili się tam nie goście przygodni, ale od lat siedzący w Paryżu przedstawiciele kolonii pół-artystycznej, pół-studenckiej, kawiarniani bywalcy, dla których dom Mickiewiczów był miłą wysepką polską, gdzie można było spędzić poniedziałkowe wieczory. W tym kąciku „panny Mariotki", jak ją nazywano, rej wodził przemiły, zdolny, borykający się z gruźlicą i z nędzą artysta-malarz Tadeusz Makowski, któremu przeznaczone było umrzeć w młodym jeszcze wieku w szpitalu na wyspie, obok katedry Notre Dame, w nieświadomości tej sławy, która z imieniem jego związać się miała po śmierci. Niejedno muzeum szczyci się dzisiaj posiadaniem któregoś z jego obrazów — tych „dziwnych dzieci" w groteskowych strojach, świadczących o rzadkim talencie, poczuciu kolorystyki i własnym stylu niedocenionego za życia artysty. Bywał w tym kółku inny jeszcze artysta-malarz, akwaforcista Jan Rubczak, doskonały grafik, którego przeznaczeniem było zginąć od niemieckiej kuli we Lwowie razem z Boyem-Żeleńskim w drugim roku drugiej wojny światowej.

Panna Mariotka przeżyła wszystkich chyba swoich „poniedziałkowych" przyjaciół. Zmarła niedawno w wieku lat 85. Ten problem wieku panny Mickiewiczówny był jej słabą stroną, uni-

kiewiczów

ryżu

1925)

LIGOCKI

kała w rozmowach chronologii i zdradzenia się jak głęboko w przeszłość sięga jej pamięć. Wszystko to nagle prysło pewnego wieczoru, gdy pani Mickiewiczowa zaczęła opowiadać o bombardowaniu Paryża w roku 1870: „Niosłam na ręku moją nieżyjącą już od długich lat maleńką Helenkę, i prowadziłam za rączkę czteroletnią Mariotkę". Arytmetyka była łatwa — 1870 minus cztery.

Pannę Mickiewiczównę nazywano czasem „Adamem w spódnicy". Była rzeczywiście bardzo do dziadka podobna — jedyna zresztą w całej rodzinie. Brakowało jej tylko bujnych, niesfornych włosów i charakterystycznej brody — collier de barbe — jak mówią Francuzi, by złudzenie było kompletne. Widać to było zwłaszcza, gdy przechodziła obok portretu Wańkowicza — ten sam profil, ten sam wyraz oczu, twarz tylko trochę przywiędła.

Wnuczka nigdy nie mówiła o swym wielkim dziadku, którego znać zresztą nie mogła, będąc urodzona w jedenaście lat po jego śmierci. O „szwętej pamięczi Ojcu" — jak mówił swym francuskim nieco akcentem gospodarz domu — opowiadał wyłącznie on sam. Były to głównie anegdoty, niewiele zresztą rzucające światła. Pan Władysław w chwili śmierci Ojca miał czternaście lat, siłą rzeczy utrwaliła mu się w pamięci zewnętrzna strona wydarzeń. Komentarze były albo wyrozumowane, albo nabyte, drogą rozmów z przyjaciółmi zmarłego i bardzo obszernej lektury, która posłużyła mu do napisania wielkiej rozmiarem biografii Adama. Gdy znałem pana Władysława, był on już człowiekiem w wieku podeszłym, i w jego opowiadaniach zaznaczała się pewna deformacja pamięci. Słyszane po kilka razy wersje różniły się czasem jedna od drugiej. Z chronologią faktów również coś nie było w porządku. Kiedy opowiadał, wskazując meble — „tu na tym fotelu, szedżał szwętej pamięczci Ojciec, a na tym generał Dwernicki", koloryt opowieści w wersji słyszanej po raz pierwszy był żywy, odzywała się barwa przeszłości — ale gdy powtarzał to samo lub coś podobnego po raz trzeci czy czwarty, na przestrzeni miesięcy czy lat mijających — jakoś to wyglądało inaczej, zaznaczały się różnice, powstawało w umyśle słuchacza pytanie, czy doskonały zresztą narrator nie pozwala sobie na pewne nieścisłości, powołując na świadka mebel z epoki drugiego Cesarstwa, a więc z 1862, czy 63 roku, podczas gdy dana rozmowa mieć mogła miejsce o kilkanaście lat wcześniej. Budziły się również pewne wątpliwości co do samej treści naświetleń — podobne zresztą, jak podczas lektury księgi pana Władysława o Ojcu. Rzeczą najważniejszą dla syna był kult zmarłego, świetlana postać, którą podświadomie, a czasem nawet świadomie, chciał jakby wyłuskać z rzeczy, często w życiu widzianych i bardzo ludzkich w swej treści. Taką świadomie zakazaną dziedziną było życie prywatne ojca. Był w nim nawet nie epizod, ale rozdział i to dość długi — Karolina Deybel — który pan Władysław rad by wydrzeć z rzeczywistości, unicestwić, zapomnieć. Zrobił, co mógł, by pominąć te rzeczy w biografii, napisanej przez siebie. Pamięć ludzka nie zgubiła jednak wszystkiego na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Żył przecież w Paryżu człowiek, którego imię nie padło nigdy na „poniedziałkach" na rue Guénegaud, podobnie jak imię zmarłej jego matki. Tym człowiekiem był przyrodni brat pana Władysława, Józef Rafał Mickiewicz, najmłodszy, przemiły zresztą człowiek, skromny, nie narzucający się nikomu, stroniący nawet od ludzi — z zawodu, jak mówiono, aptekarz czy buchalter. Nigdy go zresztą nie widziano na żadnych zebraniach polskich, w żadnym polskim domu. Wyjątkiem było mieszkanie starego dobrowolnego emigranta, pana Kazimierza Woźnickiego przy Quai de la Tournelle 23, zawalone tysiącami rzadkich druków, tekami z mnóstwem sztychów, istne muzeum pod okiem zakochanego w tych zbiorach starego kawalera, gorzkniejącego z rokiem każdym odludka. Tam tylko — rzadko komu — udawało się przypadkiem spotkać najmłodszego syna poety, który zresztą rad spotkań z Polakami unikał. Mówił tylko po francusku, bardzo niewiele, o rzeczach obojętnych, codziennych. Był jakby przelękniony czy nawet strwożony, że istnieje na świecie, że coś wstydliwego chyba dla środowisk polskich w Paryżu wiąże się z jego istnieniem. O tym jego zażenowaniu — o przeczuleniu wewnętrznym, spychającym go jakby na margines życia wiem od pana Kazimierza Woźnickiego i od jego przyjaciela, zastępcy kustosza Biblioteki Polskiej, pana Władysława Aloizego Strzembosza, jednej z charakterystycznych postaci ówczesnego polskiego Paryża. Obaj ci panowie, Woźnicki i Strzembosz, nie bywali nigdy w oficjalnym salonie mickiewiczowskim na rue Guenégaud — cały stosunek pana Władysława Mickiewicza do przyrodniego brata nazywali „mieszczańskim sekciarstwem starego radykała", mieli mu to za złe — a o pokrzywdzonym, odepchniętym jakby od sławy ojcowskiej najmłodszym synu wydawali zawsze jak najpochlebniejsze świadectwo. Tyle tylko o tym mogę powiedzieć. Dla mnie pan Józef Rafał był tylko widzianą przelotnie sylwetką przygarbionego życiem, sympatycznego starego człowieka.

Wspomniałem tu mimochodem pana Władysława Aloizego „z Damaiowic Strzembosza" — jak pisał się na kartach wizytowych ów stary oryginał, zastępca pana Władysława w zarządzie Biblioteki. Szkoda, że nie napisał książki o wielkim Adamie, znał bowiem sprawy Mickiewiczowskie na wylot, może nawet wiedział z dokumentów, które ciągle wertował po archiwach, więcej niż pan Władysław — a na pewno znał lepiej i sprawy towiańszczyzny, i stosunki rodzinne poety, i całe mnóstwo rzeczy, o których oficjalny przedstawiciel rodziny wolałby nie słyszeć i w ogóle nie wiedzieć, że istniały. Można o Strzemboszu bez przesady powiedzieć, że całą swoją erudycję przegadał i że poszła na marne. Czuł się zresztą nieszczególnie w swojej epoce, jakby się urodził za późno. Wrażenie to potęgował jeszcze strój tego człowieka. Miał rzymską, wyrazistą, zawsze nienagannie wygoloną twarz, włosy starą modą na skroniach uczesane naprzód, a na długiej szyi ogromny halsztuk czarny z połowy XIX wieku, owiązany kilkakrotnie i odsłaniający jedynie rogi „vatermördera", wysokiego nakrochmalonego kołnierzyka.

Był to jakby przeżytek starej emigracji — i to listopadowej, nie styczniowej, dobrowolnie cofający się wstecz, do epoki, w której czuł się na pewno swobodniej.

Były jeszcze dwa domy emigranckie w Paryżu, w których bywałem — państwa Zaleskich i Węgleńskich. Stary pan Zaleski — zdaje się Marceli — był synem Bohdana Zaleskiego i miał mnóstwo pamiątek. Widziałem, między innymi, u niego, rękopisy Chopina, pisane charakterystyczną, ledwie czytelną punktacją muzyczną z cieniutkimi linijkami pionowymi, zielonym atramentem. Nie wiem, co się z tymi zbiorami stało. — Było tam m. in. Largo As-dur, autograf Chopina — wydane w Warszawie dopiero w roku 1938, pisane oczywiście z myślą przeinaczenia Mazurka Dąbrowskiego w uroczysty hymn narodowy, na osnowie tego samego motywu. Musiały te rękopisy chyba zawędrować do kraju, skoro jeden z nich doczekał się druku. Pan Zaleski oddać je musiał po śmierci swego jedynego syna Maxa, który zginął na początku wojny 1914 r. jako porucznik armii francuskiej. Z moim rówieśnikiem Maxem Zaleskim spotykałem się nieraz. Mówił tylko po francusku, aspiracji pisarskich nie miał. Był to jeden z tych sympatycznych, pełnych entuzjazmu młodych, którzy wyginęli w pierwszych miesiącach wojny, z trójkolorowym pióropuszem wychowanków szkoły w St. Cyr na czaku, w białych rękawiczkach, idących do ataku. W roku 1914 zginęło ich 160, cały rocznik ostatni szkoły. Był piękny portret Maxa, pędzla Olgi Boznańskiej, który widziałem nie pamiętam już, czy u niej w pracowni, czy u państwa Zaleskich, w cichym ich mieszkaniu na avenue de l'Observatoire, niedaleko ogrodu Luxemburskiego.

Dr Węgleński był wnukiem ministra Rządu Narodowego 1831 r.

Wróćmy jeszcze na rue Guenégaud, do państwa Mickiewiczów. Około Bożego Narodzenia szczególniej przewijały się tam całe tłumy przyjezdnych Polaków — głównie burżuazja warszawska i ziemiaństwo z Litwy. Poznańczycy mało wówczas jeździli za granicę, ograniczali się do Niemiec, jak Polacy z zaboru austriackiego do Wiednia i Abbazii. Rzecz charakterystyczna, że do Mickiewiczów garnęli się przeważnie ludzie o postępowych poglądach. Pan Władysław uchodził za bezbożnika, nigdy w jego domu nie spotkało się ani księdza, ani kogoś o usposobieniu prawicowym — jedyny wyjątek stanowili Polacy z Litwy, dla których istniała przede wszystkim wileńsko-kowieńska tradycja, a nie inne względy. Zjawiali się dość często Polacy z głębi Rosji, z Sybiru, z Kaukazu, z Petersburga — tacy czasami, którzy kaleczyli polszczyznę, a z „Pana Tadeusza" brali umocnienie własnej swojej polskości. Jakby wyczuli z daleka, że znajdą w tym domu atmosferę kultu poety, a o to im tylko chodziło.

Rzecz inna, że z biegiem lat musiały tu narastać popioły. Jeden z sybirskich Polaków powiedział mi kiedyś, po wyjściu z tego domu, w mroku dżdżystej nocy paryskiej:

— Ot, panie, jakbym był dotknąwszy całunu, którym kiedyś syn okrył trumnę i zachował potem jak świętość.

To słowo „świętość" pasowało rzeczywiście do atmosfery tego coraz smutniejszego domu. Pan Władysław nigdy nie powiedział po prostu — Ojciec, a zawsze „świętej pamięci Ojciec". Nie było tu zupełnie religijnego pojęcia świętości. — Adam był dla Władysława świętością, rodzinną i narodową. Chciałby on utrwalić własną swoją jej wersję — nie zawsze szczęśliwie, nie zawsze zręcznie, ale z jakimś niespotykanym chyba fanatyzmem kultu pamięci Ojca, tego żarliwego kultu, który był treścią całego jego życia, czymś najważniejszym, jedynym. Z biegiem lat pan Władysław wpadał czasem w przesadę — to znów bez umiaru mówił niechętnie o „panu Słowackim", którego nienawidził, jakby tu o żywego człowieka chodziło. Był on chyba na świecie ostatnim, w którym niechęć wzajemna Adama i Juliusza przetrwała.

Wybuchła wojna 1914 roku. Opustoszało miasto, armaty von Klucka grały w pobliżu. Później, po odparciu wrześniowej ofensywy, Paryż był jeszcze smutniejszy. Zwłaszcza ulica, pod jesień i w zimie, w godzinach nocnych, tchnęła jakąś rozpaczliwą udręką. Mnóstwo było żołnierzy z frontu, przyjeżdżających na kilkudniowe urlopy, łudzących się, że w Paryżu zapomną o czyhającej w okopach śmierci, o mrozie, o wilgoci, o nieustannym wysiłku przetrwania na tej wielkiej linii bojowej, sięgającej od morza do Alp. Żołnierze z frontu byli w tym ponurym, zaciemnionym mieście bezradni, nie zorganizowano jeszcze żadnej opieki, nie pomyślano o nich. Nocowali na ławkach, po bulwarach, po skwerach. Nazywano ich — bezdomne, błąkające się psy — les chiens errants. Salon państwa Mickiewiczów w tym czasie pusty był prawie, rzadko kto do nich zajrzał. Z konieczności oszczędzano świece i naftę — nie było jeszcze elektryczności w uboższych domach czynszowych. Nawet pan Władysław przestawał mówić o ojcu — sięgał do wspomnień z wojny 1870 roku, z oblężenia Paryża. O Paryskiej Komunie jakoś nie wspominał. Mówił o głodzie w mieście — o Felixie Potin, który schował wtedy przezornie kilka tysięcy szynek, sprzedawał je na wagę złota i dorobił się kilkudziesięciu sklepów, prosperujących wciąż, mówił o garkuchniach, w których jadano niezwykłe potrawy — toutou aux choux — piesek z kapustą — minet aux navets — kotek z rzepą — ragout aux rats — potrawka ze szczurów. Mało rozprawiano o toczącej się wojnie, monotonne zresztą było to wszystko. Paryż liczył przede wszystkim na potęgę caratu — łudził się, że le rouleau russe marche sur Berlin — że ciężki walec żelazny armii Mikołaja II lada dzień zmiażdży Berlin doszczętnie, a wtedy wojna w kilka miesięcy się skończy.

Pan Władysław nie podzielał tych złudzeń. Sam był obywatelem francuskim, miał w przeważnej mierze francuski sposób myślenia, ale w odniesieniu do proklamacji głównodowodzącego carskiej armii, w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, zapowiadającej połączenie wszystkich trzech zaborów i autonomię w łonie imperium — myślał po polsku i nie miał żadnych złudzeń.

W wieku lat 76 pan Władysław znalazł się w wirze spraw polskich. Formowano wtedy, na mocy dekretu Poincaré-Painlevé z 4 czerwca 1917 roku autonomiczną armię polską we Francji. Zgłaszali się do niej setkami Polacy, wzięci do francuskiej niewoli jako żołnierze niemieccy. Trzeba było sprawdzać ich polskość. Pan Władysław i panna Maria Mickiewiczówna mieli to zadanie. Podróżowali z obozu do obozu, mieszkali po oberżach w małych miasteczkach, jedli z kuchni polowych. Znaleźli się niechętni, którzy twierdzili, że pan Władysław stawiał tym Polakom w niemieckich mundurach jedno tylko pytanie — czy czytaliście „Pana Tadeusza" — i że znajomość poematu świadczyć miała o polskości delikwenta. Było to złośliwą plotką pan Władysław nie używał w ogóle probierza tego rodzaju. Korzystał jedynie z faktu, że przez jego ręce przechodziły dziesiątki tysięcy ludzi i zorientowawszy się, że dany jeniec jest rzeczywiście Polakiem, dodawał to pytanie, sprawdzając, jaki zasięg ma dzieło jego Ojca w szerokich masach ludowych. Z ankiety tej bardzo był zadowolony, podkreślając, że księgi ś.p. Ojca rzeczywiście trafiły pod śląskie i poznańskie strzechy. Było to jedną z radości ostatnich lat jego życia.

Salon Mickiewiczów w Paryżu, pomimo wątłych jego powiązań z życiem Polski ówczesnej, miał jakiś swoisty urok wyspy przeszłości. Mało spotykało się w tym salonie wybitniejszych ludzi. Byli nawet tacy, którzy od tego salonu wyraźnie stronili, składali panu Władysławowi wizytę w Bibliotece, a później szli własnymi ścieżkami, szukając tryskającego życiem Paryża, a nie popiołów.

Była taka pamiętna zima z 1913 na 1914. Znaleźli się wtedy w Paryżu Stefan Żeromski, Władysław Reymont, Andrzej Strug. Mieszkali tu już dawniej Wacław Sieroszewski i Bronisława Ostrowska z mężem Stanisławem, artystą-rzeźbiarzem, malarze Władysław Ślewiński, Czesław Zawadziński, Włodzimierz Terlikowski, Władysław Borkowski, Gustaw Gwozdecki, art. rzeźbiarz Jadwiga Bogdanowicz, oprócz wspomnianych już Olgi Boznańskiej i Tadeusza Makowskiego, muzycy Ludwik Rogowski i Zygmunt Jarecki. Słabą stosunkowo więzią między tymi wszystkimi ludźmi było Towarzystwo Artystów Polskich, które istniało przez dwa lata pod nr 40 przy bulwarze Montparnasse. Odwiedzaliśmy siebie wzajemnie, spotykaliśmy się czasem w kawiarniach. Czuliśmy wszyscy, że coś nowego dziać się już zaczyna na świecie, i to było tematem długich naszych rozmów paryskich.

Salon Mickiewiczów jakby się kończył, nie tylko ze względu na podeszły wiek gospodarzy. Porywało nas nowe, tętniące życie, jakiś wyścig w nieznane — a tam ciążyło nad wszystkim gęstniejące echo przeszłości, a pogłębiała jeszcze ten nastrój wisząca w pokojach ciemność, nikłe światło kilku staroświeckich naftowych lamp i kandelabrów. Nastrój ten dochodził do szczytu, kiedy goście zaczynali się rozchodzić. Po jedenastej pan Władysław stawał w przedpokoju i dawał każdemu kilkunastocentymetrową, cieniutką, zapaloną świeczkę — i tak szli wszyscy, po wąskich stopniach stromych, ciasnych schodów, jeden po drugim, trzema kondygnacjami pięter, jakby się schodziło gdzieś do podziemia — jak idzie się dziś jeszcze do katakumb rzymskich...

W roku 1925 wszystko to należało już do przeszłości. Została tylko — na lat prawie trzydzieści samotna panna Mariotka.

ZE WSPOMNIEŃ

CARL SANDBURG

Kat w domu

O czym może myśleć kat,
gdy w nocy wraca do domu po pracy?
Gdy zasiądzie z żoną
i dziećmi przy kawie
i przy półmisku z szynką i jajkami ,czy go zapytają,
miałeś dziś piękną pracę,
czy ci się wszystko udawało, czy też pewne
rzeczy przemilczą rozmawiając
o pogodzie, kopaniu i polityce
i o kolumnach humoru w gazecie
i o kinie. Czy patrzą
mu na ręce, gdy sobie kawę podaje
albo szynkę z jajkami? A cóż, gdyby dzieci
rzekły: tato, chodź z nami pobawić się w konia,
patrz, oto powróz — czy odpowie żartem:
A boż tom dziś nie widział aż nadto powroza?
Albo oblicze jego się rozpali
jak fajerwerk radości, i powie:
jakże dobre i piękne jest życie na ziemi.
A gdy biała księżyca twarz spojrzy przez okno
do pokoju, gdzie małe śpi jego dziewczątko,
i blask miesiąca się miesza
z włosami dziecka, uszkami dziecka — on kat —
co może teraz zrobić? Musi to być łatwe
dla niego. Wszystko chyba jest łatwe
dla kata.

Spolszczył K. A. JAWORSKI

MOJE JADY

KAROL AUGUST SAINTE-BEUVE

Przełożyła ANNA JAKUBISZYN

Karol August Sainte-Beuve (1804—1869), najznakomitszy krytyk francuski, poza kilkudziesięciu tomami prac krytycznych, pozostawił liczną korespondencję oraz notatki osobiste, wydane po jego śmierci pt. „Moje jady". Wybór z nich podajemy poniżej.

W tym zeszycie mam farby stężone, często w postaci jadów; wystarczy je nieco rozcieńczyć, by otrzymać barwy pełne życia.

W moich wizerunkach pochwała jest przeważnie jawna, krytyka utajona. Pociśnijcie gąbkę, a wyjdzie z niej ocet.

Gdybyśmy zaczęli mówić na głos prawdę, społeczeństwo nie zniosłoby tego ani przez chwilę. Zawaliłoby się z straszliwym hałasem, niby świątynia Filistynów pod ciosami Samsona, niby owe podziemne chodniki w kopalniach, albo też niebezpieczne przejścia w górach, gdzie nie wolno podnosić głosu w obawie lawiny.

Pochwały moje nieraz bywały przewrotne.

Żywię jedną tylko prawdziwą namiętność: namiętność do literatury.

W mej działalności krytycznej staram się zawsze wczuć w innych: przestaję być sobą; wnikam w innych, staram się w nich wcielić i dorównać im. Czy mi się to udawało? W czym nie zdołałem pojąć wielkich lub subtelnych serc, które malowałem? W czym chybiłem Teokryta, panią de la Fayette, kardynała Richelieu?

Jestem klasykiem w tym znaczeniu, iż jest pewien stopień obłędu, szaleństwa, śmieszności lub złego smaku, wystarczający, by raz na zawsze zrazić mnie do jakiegoś dzieła, choćby skądinąd było w nim niemało inteligencji i talentu.

Wiem aż za dobrze, iż brak mi wielkości, żem niezdolny do miłości i wiary. Staram się powetować te braki sympatią i zrozumieniem dla wszystkiego. Za to przenikam w lot każdą fałszywą wielkość i nienawidzę jej.

To, co robię, to historia naturalna literatury.

Moja ambicja to zostać w historii literatury, w krytyce uczniem Bacona.

Jeśliby miał wydać sąd o sobie samym, tropiącym miłość własną pod wszelkimi jej przebraniami, powiedziałbym: „S. B. podziwia swe odbicie w każdym wizerunku, jaki tylko kreśli. Pod pretekstem malowania innych opisuje zawsze swój własny profil!"

Bo zapamiętajcie to sobie: w innych widzimy najchętniej i podziwiamy zawsze siebie samych. Każdy krytyk w swych wybrańcach daje tylko własną apoteozę.

Jest jedna tylko metoda zrozumienia innych: nie spieszyć się z swym sądem, żyć u ich boku, pozwolić im się wypowiedzieć, rozwijać się z dnia na dzień, odmalować w nas samych.

Podobnie jeśli idzie o pisarzy zmarłych, czytajcie, czytajcie bez pośpiechu, poddajcie się im, a wyłonią się przed wami z swych własnych słów.

Dar krytyczny... może stać się darem twórczym, o ile wśród rewolucyjnych przemian gustu, wśród szczątków dawnych, walących się rodzajów literackich oraz nowych, rysujących się prób, wypada odróżnić pewnie, ściśle, bez wahania to, co jest cenne i co będzie trwać, gdy trzeba rozstrzygnąć, czy w nowym dziele oryginalność zdoła okupić braki.

Lubię sądzić pisarzy na podstawie ich początków, odrzucając wszystko nabyte.

* * *

Lamartine wznosi się i króluje w przestworzu, Hugo brodzi w błocie.

Proza Musseta jest urocza, w przeciwieństwie do prozy Wiktora Hugo, do której nie podobna wrócić po raz drugi. Spróbujcie, czy zdołacie przeczytać powtórnie „Katedrę Panny Marii w Paryżu".

Teofil Gautier razem z swą szlachetną urodą, wypomadowanymi włosami i wiśniową kamizelką ma wstrętny, cuchnący oddech. Podobnie też w jego poezji poprzez wszystkie barwy tęczy

(Dokończenie na str. 11)

PIERRE AIMÉ THERESE

Portret

Przekład WOJCIECHA NATANSONA

Kiedy znikłaś mi z oczu
na zakręcie ulicy
próbowałem zebrać wrażenia.

Jak dziecko, które rozrzuci zabawkę
z nadmiaru radości
i niespokojnymi, drżącymi palcami
zbiera niepasujące części
ulubionej składanki.

Widziałem najpierw twe włosy
świecące palącą jasnością
widziałem oczy
ze wzruszającym wyrazem
nieokreślonego znużenia
i palce szczupłe, prześliczne, jedyne.

A ponad wszystkim brzmiał głos
jak zwrotka piosenki
niepokojącej,
którą tak niedawno
a tak dziwacznie dawno
śpiewałaś.

VACHEL LINDSAY

KONGO

(Studium murzyńskie)

Spolszczył K. A. JAWORSKI

(Głębokim basem)

Czarne chłopy otyłe w piwnicznych winiarniach,
szynków królowie na niepewnych nogach,
chwiejący się brzuchacze bili pięścią w stół,
bili pięścią w stół,
o pustą beczkę tłukli kijem z miotłą:
ze wszystkich sił,
bum, bum, BUM!
jedwabnym parasolem i kijem z miotłą
bum-ly, bum-ly, BUM!
I tu sen zobaczyłem, żywy sen,
a z ich uczty już dłużej nie mogłem się śmiać.

(Powoli, uroczyście)

BO UJRZAŁEM, JAK CZOŁGA SIĘ
W CIEMNOŚCI KONGA,
PRZENIKA ŚCIEŻKĄ ZŁOCISTĄ
W PRALESIE

i potem wzdłuż wybrzeży
tysiącmilowej rzeki bieży
dzikusów z tatuażem roztańczony rój.
Słyszałem wybuch śpiewu
łaknącego krwi,
i kości ludzkiej grzmienie o cynowy gong.

(Ze stopniowo zwiększającą się szybkością i hałasem)

A KREW kwiczała w piszczałach,
w fletniach wojowników,
KREW, darły się łby suche
czarownicy, kościści doktorzy,
roztoczcie Voo-doo śmiertelny grzmot i chrzęst.
Napełnijcie równiny
i wszystko wypędźcie bydło,
chr-chr-chrzęst—chr-chr-chrzęst,
bing!

(Z filozoficzną pauzą)

Bum-ly, bum-ly, bum-ly, BUM!
Ryczący, dziki, epicki śpiew
z paszczy Konga brzmi
w górę do gór Księżycowych.
Śmierć to słoń,
oczy, pochodnie przeraźliwe,
na bokach pianę ma i szerzy strach.

(Ostro, z twardym przyciskiem)

Bum, ukradnijcie bożków,
bum, zabijcie Arabów,
bum, zabijcie białych,
hu, hu, hu —

(Jak kwilenie wiatru w kominie)

Słuchajcie, jak duch krzyknął Leopolda
w ogniu piekła, że obciął rękę gospodarza.
Słuchajcie, jak tam diabły chichoczą i ryczą,
odrzynają mu rękę w tym piekielnym dole!

(Uroczysty śpiew)

Słyszycie, wojna straszna ogłoszona,
syczący tętent dzikich nóg w pralesie,
syczący wokół mrowisk z błota,
syczący wokół bagna, gdzie motyli taniec.

(Każde O brzmi zupełnie jak złoto. Wszystkie akcenty twarde. Ciszej, ostatni wiersz szeptem)

Ucisz się i bacz,
zbliża się Mumbo-Jumbo, Konga bóg
i wszyscy inni
bogowie Konga.
Mumbo-Jumbo cię zgubi,
Mumbo-Jumbo cię zgubi,
Mumbo-Jumbo cię zgubi.

Odszedł Leonard Podhorski-Okołów, świetny poeta i tłumacz, badacz realiów mickiewiczowskich, autor interesujących rozważań z zakresu poetyki.

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

Do Adama

Jedźmy, nikt nie woła.

Jednako nam szumiały, tęsknie a miarowo,
Też białoruskie brzozy i dąb ciemnokory,
Jednako zwykło niebo przepływać nad głową,
Rumienić rześkie ranki i ciemnić wieczory;

Ta sama nas zielona ziemia, z miłych miła,
Karmiła ciszą chleba i jasnością mleka,
I kochać, i miłować, i tęsknić uczyła,
Ta ziemia — jak dal smutna, jak smutek daleka.

I dlatego, gdy obu nam przyszło, w żałobie,
Z dala ziemi, wydartej złych lat zawieruchą,
Żyć i dumać — zarówno i we mnie i w tobie
Nieraz żal tak skowyczy przeciągle i głucho,

Że wołamy: „O, Panie, Ty głosem tej strony
Nasze serca zdyszane, naszą rozpacz ukój".
I słuchamy, daremnie słuch tężąc stęskniony:
Cicho... (Ty — tam na stepie, ja — na gorzkim bruku).

Ze zbiorku „Białoruś", 1924.

STEFAN ZARĘBSKI

Modlitwa

Wam — gwiazdy wysokie —
hymn.

Lśnił na niebie wysokim
wasz blask
ponad szczyty wysokie,
nad wysokie obłoki...

I pomyślałem: Boże wysokich gwiazd!

Epitafium

Czas był bajkowych zachwyceń
I dużo wiosny było,
Pryskały pełne szklanice
Za młodość i za miłość.

I był czas nieba w piorunach
I czas wieczornej ciszy:
Grzmiało... Jaśniała łuna...
Dźwięczały lat klawisze...

Jak malarz, co obraz chciałby
Barw przeładować użyciem...
I pozmazywał czas farby
I pozostały szkice.

Liść wawrzynu

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

Na progu nowego 1957 roku zmarł nagle Stanisław Bojarczuk, wielki, samorodny poeta ludowy, obdarzony talentem o bardzo rozległej skali, wręcz niezwykły twórca i wspaniały człowiek, dla którego sztuka była nakazem i potrzebą życia, chociaż od najwcześniejszych lat chodził za pługiem, trudniąc się pracą na roli. Był chłopem. Mieszkał we wsi Rońsko, pod Krasnymstawem, w małej, na wpół rozwalonej chacie, w której spędził wiele lat „dumnych i chmurnych", gdzie poznał gorycz niejednego zawodu i rozkosz tworzenia, biedę i smak walki o lepszą, jaśniejszą przyszłość wsi. Zawsze chlubił się, że należał do „Zarania". Jako kolporter nielegalnej prasy chłopskiej zetknął się po raz pierwszy z drukowanym słowem, zaznajomił z książką a przyjaźń ta serdeczna i gorąca przetrwała przez całe życie. Bojarczuk był z zamiłowania bibliofilem. Widziałem, jak wi'ał każdą, ciekawszą pozycję wydawniczą, jak cieszył się z dobrego papieru i ładnej szaty graficznej albo jak oburzał się biorąc do ręki dzieło wytłoczone tandetnie i licho. Ten niewykształcony chłop uwielbiał małe formaty. Zachwycał się miniaturową edycją Mickiewicza, Staffa, Tetmajera i Syrokomli. Pieścił kartę po karcie, oglądał ilustracje i gorąco chwalił, jeśli były „piórkowe". Innych nie uznawał. „To nie to", mawiał. Domagał się, żeby książka miała szerokie marginesy, gustowne zdobniki i inicjały. Z tych zainteresowań estetycznych wypływa miłość chłopskiego poety do wszystkiego, co piękne. Pamiętam, z jakim entuzjazmem rozprawiał na pastwisku o Rajaelu, jak zachwycał się autoportretem genialnego artysty, jak bardzo kochał Leonarda i jego „Madonnę wśród skał", z której reprodukcją nie rozstawał się przez całe życie. Z polskich malarzy wyróżniał Gersona, Szermentowskiego i Andriollego. Specjalne nabożeństwo czuł do Matejki i Grottgera. Nie uznawał natomiast impresjonistów. „To bazgracze!" — mówił z przekąsem.

Bojarczuk lubił muzykę. Była to miłość starego wiejskiego muzykanta, który przez wiele lat grywał na baszetli na wiejskich weselach. Kiedyś odwiedziłem go w lipcowe, parne popołudnie. Od razu uderzyła mnie jego rozradowana twarz, prześwietlona letnim słońcem. Domyśliłem się, że poeta coś przeżył. Może napisał dobry, udany sonet? Powoli wyznał mi wszystko. A więc dowiedziałem się, że wczoraj słyszał przez radio „Lohengrina", z Gruszczyńskim w głównej roli. „Ach, co to za muzyka!", szeptał ściszonym głosem. „To anielska symfonia. Trudno to wyrazić w słowach. Zabrałem się w nocy do pisania wiersza pt. „Prometeusz i perliczka", w którym będzie mowa o miłości Ryszarda Wagnera". Nieco później powstały sonety na tematy muzyczne: „Chopin", „Paganini" i „Moniuszko". Potem „Wieczornica wiejska", „Oberek", „Kolęda".

Krąg wiedzy i zainteresowań Bojarczuka ciągle się rozszerza. Poeta pochłaniał masę książek. Studiował system planetarny Mikołaja Kopernika, unosił się nad wielkością Giordano Bruna i Galileusza. Interesował się postępem i zdobyczami nauki współczesnej. Było w tym człowieku coś z wiecznego poszukiwacza, coś z odkrywcy. W jego oczach płonęła pasja nieustających dociekań, której nawet podeszły wiek nie potrafił stłumić.

Ale Bojarczuk był przede wszystkim poe'a. Przez 50 lat „bawił się piórem", śpiewał „sobie a Muzom", wciąż zapełniał drobne ćwiartki papieru swoim równym, spokojnym pismem. Pisał przeważnie sonety, gdyż tę formę przekładał ponad inne i chociaż nie posiadał żadnego wykształcenia, nie znał ortografii, potrafił przezwyciężyć trudności, a w rezultacie dać stroje iskrzące się ogniem oryginalnej metafory i kunsztownością rymów. Jako syn wsi, opiewał ziemię i jej krasę. W sonetach, jak na płótnie zamykał wschody i zachody słońca, jesień i zimę, kwitnące sady i śnieżne zadymki. Orkę, siejbę, kopanie kartofli i żniwa. Często wracał do obrazów dzieciństwa. Piękny jest jego „Wielki dół", „Odpust", „Sosna". Lata „sielskie, anielskie" przypomina świetny wiersz „Żarna", w którym brzmi przeczucie śmierci. W całym dorobku poetyckim Bojarczuka sonety wiejskie stanowią wartość największą, najisto'niejszą i na pewno trwałą. Odznaczają się głębokim liryzmem, barwnością obrazowania, śmiałością i celnością przenośni, nowatorstwem stylu. To już nie są dzieła tak zwanego „poety ludowego", operującego najczęściej nieporadnym językiem i kiepskim rymem, ale utwory dojrzałego twórcy, rzetelnego artysty. Do twórczości Bojarczuka nie po'rzebujemy stosować „taryfy ulgowej", jeżeli chodzi o jej ostateczną ocenę. To, co stworzył, nie tylko budzi szacunek, ale i podziw, nie tylko ujmuje, ale i zachwyca.

Niemałą wartość mają też erotyki, których opublikował dotychczas stosunkowo niewiele. Wejdą one do drugiego tomu poezji Stanisława Bojarczuka, k'óry prawdopodobnie ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszawie.

W ciągu trzydziestoletniej znajomości mogłem z bliska śledzić wszystkie ważniejsze etapy życia Bojarczuka. Było to borykanie się tytana. Przez długi czas los go ciężko doświadczał. W domu, na progu siedziała Kuma Bieda. Trudno było o sól i zapałki. A rodzina była dość liczna i potrzeby spore. Z tego kawałka ziemi, jaki poeta posiadał, niesposób było wszystkich wyżywić. Trzeba się było chwytać różnych środków, byle jakoś przetrwać. Bojarczuk nigdy nie tracił ducha. Ba, nawet w najtrudniejszym okresie nie przestał pisać. Nie załamał się. Rokrocznie powiększał się jego dorobek, rosła liczba sonetów i krzepł talent. Nieraz podziwiałem tę zawziętość, z jaką zdobywał książki i prasę. Przez

(Dokończenie na str. 12)

HELENA PLATTA

To Tibora Csorby

Widziałam w Lublinie
panoramiczny film twej ojczyzny —
akwarele:

— Przedmieścia stolicy,
naddunajskie łąki
i takie same grusze, jakich u nas wiele.

Kępy czujne w jasnym kolorycie,
domki wiejskie, zagrody, winnice...

Tęsknota pejzaż snuła
w lekkie światła smugi —

Ludzie?
Byli także, lecz na planie drugim.
Ludzie— czerni zagęszczonej sople,
ludzie— gniewu grudy.
Był
czardasz.
— Czardasz w ulicach Pesztu i Budy:
— owocem gorzkim
— granat.
— — — — — —
...Na twojej akwareli
rozlała się plama...

Godzina lekcyjna

ADOLF LEKKI

Nina siedziała w pokoju nauczycielskim przeglądając po raz ostatni konspekt wykładu. Chociaż koleżanki śmiały się z niej, nie mogła zmienić swego stylu pracy. Zawsze w ciągu tych osiemnastu lat pracy nauczycielskiej z niezwykłą starannością przygotowywała się do lekcji i zawsze przed lekcją odczuwała tremę, jak aktor mający za chwilę wystąpić na scenie. Uczucie niepokoju opuszczało ją dopiero wtedy, gdy nawiązała kontakt z uczniami, gdy czuła, że wsłuchani w każde jej słowo przenoszą się myślą w ten okres historyczny, który był przedmiotem wykładu. Gdyby zobaczył ktoś, jak rzucała okiem na konspekt, a później przez długą chwilę siedziała wpatrzona w jasną plamę okna, mógłby pomyśleć, że zajęta własnymi myślami jest daleko poza budynkiem szkolnym, że nic jej nie obchodzi lekcja historii, którą prowadzić ma po długiej przerwie, a ona tymczasem utrwalała sobie w pamięci:

„Okres paskiewiczowski... Ruch patrictyczny w kraju i na emigracji po wojnie krymskiej... Epoka po upadku powstania listopadowego nazwana została „okresem paskiewiczowskim", ponieważ on był namiestnikiem cara w Polsce... Społeczeństwo polskie gnębione represjami zachowało się na ogół biernie. Dopiero po roku 1850 młode pokolenie wniosło trochę ożywienia do ruchu niepodległościowego... Pytania do lekcji..."

Drzwi się otworzyły, ukazała się w nich woźna.

— Oto jest pani Leszczyńska — powiedziała do kogoś ukrytego za jej plecami i wycofała się natychmiast. W progu stanął listonosz. Jego pękata torba pełna była miłości, bogactwa, smutku, zakłamanych słów. Swoją codzienną wędrówkę po piętrach i suterenach rozpoczął on dzisiaj od szkoły.

— Dla pani polecony — głos listonosza zabrzmiał mniej urzędowo niż zwykle przy wykonywaniu funkcji. Znał dobrze „panią profesor Leszczyńską", jak ją wszyscy w mieście nazywali, uczyła jego syna w dziesiątej klasie jedenastolatki, niejednokrotnie odbierała z jego rąk kartki pocztowe z życzeniami, listy w niebieskich kopertach, których nadawca — jej mąż — oprócz nazwiska legitymował się jeszcze numerem jednostki wojskowej. Major Leszczyński rozpoczął swoją karierę wojskową przed wojną. Zdolny, wesoły i miły zaskrabił sobie sympatię przełożonych, zdobył uznanie dla swojej pracy. Byłby się piął powoli po drabinie stopni wojskowych. Wojna zatrzymała go w połowie drogi. Kampanię wrześniową odbył w stopniu porucznika, a potem zniknął na długo. Trzy czy cztery razy Nina otrzymała od niego karteczki z których wynikało, że mąż znajduje się w oddziałach Armii Krajowej, że wierzy w zwycięstwo.

Nie oczekiwała bezczynnie jego powrotu, nie miała pewności czy wróci, czy ominie go kula pozbawiająca życia tylu młodych ludzi. Aby zabić w sobie ciągłe uczucie niepokoju, poświęciła się całkowicie pracy nauczycielskiej. Prowadziła tajne komplety nauczania, wpajała w chłonne młode umysły miłość ojczystego kraju i jego dziejów. Jednak niepokój istniał, nie mogła go się pozbyć. Człowiek żyjący nie jednym życiem, nie jedną musi mieć twarz. Nina Leszczyńska miała kilka twarzy. Na ulicy jej piękne niebieskie oczy spuszczone były w dół, a niewielka postać w ciemnym paltociku stawała się niepozorną, jedną z wielu.

W klasie, urządzonej w jej własnym mieszkaniu, kiedy uczniowie zasiedli już gdzie kto mógł, oczy Niny nabierały blasku i biła z nich moc, której nikt nie mógł się oprzeć. Bywało, że niektórzy z jej uczniów, rozswawoleni nielegalnym handlem i nienormalnymi warunkami, opuszczali lekcje, przestawali się uczyć. Odwiedzała ich wtedy, zachęcała do wytrwania. Komplety jej kończyły naukę rokrocznie w pełnym składzie. Lecz kiedy po zajęciach zostawała sama, znów ulegała zmianie. Lubiła rozpuścić włosy i przebrana w jasnoróżową sukienkę, która była świadkiem jej pożegnania z mężem, usiąść przy oknie, by długie godziny błądzić myślami po drogach i ścieżkach, gdzie wędrowali razem. Dziwne, że człowiek okazujący tyle hartu i siły woli jak ona, mógł być marzycielem, a jednak tak było. Kiedyś nie mogła na przykład patrzeć na zwykłą operację, jakiej ogrodnik dokonywał na drzewach, zmuszając topolę, by zamiast wystrzelać ku górze nosiła okrągłą czapę. Nina wiedziała, że ogrodnik musi to robić, skoro to się ludziom podoba, lecz nie mogła poskromić w sobie gniewu. „Po co zrobił z topoli karzełka? Rosłaby sobie wysoko, szumiała na wietrze". I widziała siebie z książką w cieniu wielkiego drzewa...

Teraz często myślała o tym, jak to będzie po wojnie, gdy wróci mąż, gdy ustanie twardy obcy szwargot i rozdźwięczy się znów polska piosenka.

„Może przyjdą wtedy dzieci. On tak lubi bawić się z dziećmi, a ja je uczyć..."

Czy to wskutek stałego ukrywania myśli, czy też pod wpływem ciągłych przeobrażeń, jakich wymagała od niej sytuacja, Nina z biegiem czasu zatraciła tę twarz. Nie popuszczała już cugli marzeniom. Zamieszkały w niej trzy istoty — gdy tylko myśl próbowała oderwać się od rzeczywistości, natychmiast spotykała się z drwinami drugiej istoty zrównoważonej, trzeźwej. Ponad pierwszą i drugą królowała jednak bezsprzecznie nauczycielka. Odczuł to Leszczyński po powrocie z partyzantki. Tuląc żonę wieczorami, gdy wracała zmęczona po pracy, szeptał:

— Zmienili cię... zmienili...

Ona też czuła, że nie jest sobą. Próbowała czasami kochać tak jak dawniej, marzyć, śmiać się beztrosko. Niestety, wychodziło to sztucznie i brzydko, jak gdyby topola-karzełek przy parkowej alei wypuściła nagle proste gałęzie a ogrodnik zapomniał je przyciąć.

W 1947 roku były kapitan Armii Krajowej, Roman Leszczyński otrzymał awans na majora i prawie równocześnie wezwanie do stawienia się w sztabie generalnym. Wyjechał z uczuciem ulgi, pozostawiając żonę, córeczkę i synka.

— Proszę tu pokwitować odbiór listu — powiedział cicho listonosz — proszę, tu jest ołówek.

Zupełnie mechanicznie złożyła podpis na podsuniętym jej blankiecie. List polecony, oklejony znaczkami z widokiem przyszłego pałacu nauki i kultury, leżał na biurku, jakiś wrogi, odpychający...

— Jeszcze tylko datę postawimy i będzie wszystko w porządku...

Listonosz mówił te słowa, bo lubił „panią profesor", bo nie chciał, aby panowało w pokoju milczenie. Tym samym ołówkiem, którym ona przed chwilą podpisywała pokwitowanie, nagryzmolił: „czerwiec 1952 rok".

— Życzę wszystkiego najlepszego pani profesor — listonosz skłonił się nisko i odszedł. Odwrócił się jeszcze od drzwi, złożył jeszcze jeden ukłon.

— Niech pani Bóg da wszystko, co najlepsze...

— Dziękuję.

I oto pozostała sama. Nie, nie, sama, na stole leżał przecież list, przerażająco obcy.

„Boże spraw, aby ten list...
Boże zlituj się nade mną..."

Na korytarzu szkolnym zabrzmiał elektryczny dzwonek, gdy rozcinała nożem urzędową kopertę, załomotały schody pod nogami rozbawionej młodzieży, gdy rzuciła okiem na papier. A potem była już tylko pustka, potem była jakaś cisza bezbrzeżna, którą przerwała dopiero woźna przypominając:

— Pani profesor, czas iść na lekcję...

Nina podniosła się z wysiłkiem i doznała dziwnego uczucia. Oto zawisła gdzieś w próżni, już nie jest sobą, nie ma szkoły ani lekcji i jest tak dobrze z tą próżnią w głowie, z tą ciszą i mlecz-

---

O poezji miłosnej Norwida

IRENA SŁAWIŃSKA

Poezja miłosna Norwida jest bardzo mało znana, zwłaszcza czytelnikom najstarszego i najmłodszego pokolenia. Poetę miłości w Norwidzie przesłoniła bowiem legenda, która rosnąc już od półwieku kolejno odkrywała pewne obszary jego poezji i zasłaniała inne. Najstarsze pokolenie — jeśli obcowało z Norwidem — obcowało z poetą myślicielem, filozofem kultury, autorem *Promethidiona* i wielkich, trudnych poematów, z tym poetą, którego hieratycznym gestem wskazywali ówcześni komentatorzy. Dla najmłodszych, którzy dopiero w ostatnich latach zetknęli się z Norwidem w szkole, jest on autorem trzechczterech wierszy: *Do obywatela Johna Brown*, *Żydów polskich*, *Fortepianu Szopena*, więc bojownikiem o sprawiedliwość, heroldem sprawy murzyńskiej, czcicielem Szopena. Poza tym dopiero teraz (w 1956 r.) szerszy ogół może poznać niezmiernie oryginalne erotyki, dotąd właściwie ukryte.

Te „struny pieśni społecznej" Norwida, jakie poruszano najczęściej przedtem — i teraz, są oczywiście ważne i dla poezji jego bardzo istotne. Nie każmy jednak wciąż milczeć tej strunie, która odebrzmi zawsze dyskretnym i boleśnie tłumionym dźwiękiem i może być słyszalna dla najszerszego kręgu odbiorców. To struna miłości.

Jeśli — nie tak często zresztą — Norwid do niej wraca, to nie tylko ze względu na dotkliwość osobistego bólu, jak sugerują komentatorzy, wiążąc poszczególne wiersze z imionami kobiet. Oczywiście rodzi te erotyki potrzeba artystycznego wyrazu, w którym osobiste uczucia przechodzą proces uogólnienia, lirycznej destylacji. Nie próbuje tych związków z osobistymi przeżyciami wypierać się i sam Norwid. Poezję tworzy się całym życiem: „Mówić o sercu, nie mówiąc o swoim sercu, jest to łudzić się — przynajmniej za wysoki to rodzaj dysertacji dla mnie biednego śmiertelnika!..." (list do Konstancji Górskiej z 1852 r.)

Ale miłość między dwojgiem ludzi nie wydaje się nigdy Norwidowi sprawą czysto osobistą, prywatną. To przede wszystkim problem ogólny, problem kultury moralnej, warunek normalnego życia społecznego, warunek pracy twórczej. „Nawet ażeby być logicznym, trzeba koniecznie być szczęśliwym", szczęście zaś realizuje najpełniej — właśnie miłość, lecz miłość zupełna i żywa, nie miłość — „uczuciowość bezmaterialna", nie miłość-rozmowa w salonie, ani też „miłość czysta u kąpieli morskich". Dlatego właśnie w erotykach Norwida tyle ironicznych akcentów, że poeta wciąż walczy z upiorami konwencji salonowej, tej konwencji, która wyssała z miłości żywą krew. Za skrzywienie i wyjałowienie serca kobiety czyni poeta odpowiedzialnym — „stygmat salonu". Salon uczy bowiem kobietę od dzieciństwa martwej formuły i kłamstwa, uczy ją każdym gestem obiecywać mężczyźnie to, czego nigdy nie ma odwagi dotrzymać.

W atmosferze społecznej życia polskiego „miłość zupełna" dojrzewać nie może. „My wszyscy, proszę pani — pisze Norwid do Konstancji Górskiej — zastaliśmy taką naokoło siebie społeczną atmosferę od pierwszego poczucia serca, która nie pozwoliła nam rozwinąć go, a często i w całości zupełnej dochować. Któż jest taki szczęśliwy i wybrany, ażeby przechodząc przez tę kładkę wąską i gnącą się od pierwszego kroku, poczuł zaraz w koło siebie rękę czystą, która by choć nie tknąwszy dopomagała z dala, tak jak przechodzącemu nad przepaścią łatwiej jest utrzymać ekwilibrium, mając obok choćby niedotkliwą rękę cudzą towarzyszącą w drodze (...) To ja mówię o miłości — pierwszej — tej, która w naszym społeczeństwie jest zawsze sparaliżowana: wychowaniem, śmiechem, serio, światem, przypadkiem, pozycją, widokami, wpływami etc. (*Listy*, 1, str. 122—128).

Grzechem tej atmosfery społecznej jest kult bardzo zewnętrznych wartości jak majątek, tytuł, stanowisko, „odpowiadający humor i wzrost" i wyrachowanie, nakazujące pannie iść za „sąsiada, którego dobra graniczą z jej wianem o „mostek jeden, o rów jeden". Na małżeństwo, traktowane jako „kampania kupiecka" czy zabieg konwencji towarzyskiej, zgrzyta często ironia norwidowska. Bolesnym happy endem komedyj (*Za kulisami*, *Miłość czysta*) i nowel (*Bransoletka*) staje się „błyskawicowa chwila" rozerwania tak spreparowanych zaręczyn w wielkim świecie. Wiąże się to zresztą ze sprawą wolności: dlatego do problemu małżeństwa wraca Norwid w poemacie „*Niewola*". Czy można praktykując niewolnictwo, sprzedaż w niewolę małżeńską, „wciąż na niewolę narzekać ojczyzny"?

Ale równie niemoralny jest — także zawiniony przez epokę — romantyczny kult „miłości czystej", „uczuciowości bezmaterialnej". Ta „uczuciowość bezmaterialna" to intelektualna kokieteria, odrywająca człowieka od życia i jego zobowiązań. Wielokrotnie i ze szczególną pasją mówi Norwid o postaciach kobiecych w poezji romantycznej: o Aldonie z *Konrada Wallenroda* czy tej bezpłciowej mgle, dla której Gustaw zwariował. Nigdzie w utworach romantyków miłość nie jest „pomocą życia"; kobieta nie chce towarzyszyć mężczyźnie w trudzie dnia codziennego i walki. „Dla takich subtelności miłosnych trzeba być nieżywym" — notuje Norwid na marginesie wzmianek o kobietach Mickiewicza. Rozważania o miłości poprzedza zaś uwagą o prawdzie, która tylko „myślą, uczuciem i życiem razem może być objęta". I taka tylko miłość jest prawdziwa i zupełna: gdy angażuje całego człowieka sumiennością każdego dnia i jego bardzo „materialnych" obowiązków. Skoro zaś miłość ucieka w „bezmaterialną uczuciowość", coś wykruszą się w kulturze, gnije ważka więź społeczna. Miłość bez wcielenia jest — jak pamiętamy — „upiorowym myśleniem myślenia". „Kochać to nie jest tylko czuć miłość".

* * *

Rozważania o miłości spotkamy w pismach krytycznych, listach Norwida i nie ogłoszonym jeszcze traktacie pt. *O miłości ksiąg dwie*. Wraca tam wciąż analiza problemu w perspektywach życia społecznego, w perspektywach całej kultury. Ale wielką syntezę przyniesie dopiero — jak zwykle — poezja. Niewiele w twórczości Norwida erotyków, wyodrębnionych jako wiersze liryczne. Krąg poezji miłosnej poszerzy się dopiero, jeśli sięgniemy do poematów i dramatów. Są tam fragmenty dialogów i wstawki liryczne o własnej, wyodrębnionej stroficznie strukturze. Jest wreszcie wielki poemat miłosny z późnych lat życia poety (1870), gdzie wreszcie „obejrzało się na siebie" to tak dostojne i różno-promienne uczucie" *).

W rozwoju poezji miłosnej Norwida nie trudno dostrzec pewną prawidłowość. We wcześniejszej fazie twórczej powstają odrębne erotyki w postaci drobnych wierszy o jednym podmiocie lirycznym, w późniejszym okresie forma ta wyraźnie zanika. Poezja miłosna wyrazi się w dialogach dramatycznych lub w partiach udramatyzowanych, z zewnątrz ukaza-

---

* *Wszystkie drobne erotyki oraz* Assunta *udostępniło nowe wydanie PIW-u, przygotowane starannie przez J. W. Gomulickiego i M. Jastruna — Cyprian Norwid, Poezje, 1 i 2, PIW (Warszawa 1956).*

mobiałym tumanem w koło... Jak długo to trwało? Minutę, może dwie. Krzyk woźnej przywrócił jej przytomność.

— Pani profesor... pani profesor... co pani jest?

— Nic... nic... już dobrze.

Kto to wypowiedział te słowa „już dobrze", przecież nie ona, przecież nie jej marzycielstwo ani zrównoważenie. To na pewno ta trzecia... nauczycielka.

— Trzeba powiedzieć, aby ktoś panią zastąpił — mówiła woźna trzymając ją pod rękę. I znów ta trzecia, — nauczycielka — doszła do głosu. Nina opanowała się i powiedziała twardo.

— Nie trzeba, już idę. Lekcja się odbędzie.

Ruszyła w stronę drzwi, już na korytarzu zorientowała się, że zamiast konspektu trzyma w ręce list, wróciła więc do pokoju, zabrała rozrzucone kartki i poszła do klasy. Wykłady jej nigdy nie były nudne, młodzież bardzo je lubiła. I dzisiaj, jak zawsze, zapanowała cisza, gdy tylko pojawiła się na katedrze.

— Po upadku powstania listopadowego feldmarszałek Paskiewicz, zdobywca stolicy, został namiestnikiem carskim w Polsce. Okres ten, obejmujący lata 1831 do 1856, był bardzo trudny dla rozwoju polskiej kultury, nauki i gospodarki. Najlepsi synowie narodu polskiego poszli wtedy do oddziałów partyzanckich...

„Boże, co ja mówię, przecież to nieprawda" — pomyślała Nina. „To nieprawda, że szli do oddziałów partyzanckich. Nie było partyzantki, w konspekcie mam zupełnie inaczej. Panowało przygnębienie i bierność..."

W sali zapanowało chwilowe poruszenie i natychmiast zaległa śmiertelna cisza. Każdy, nawet najgorszy obserwator, zauważył, że z nauczycielką dzieje się coś dziwnego. A ona jeszcze raz opanowała się i przeprosiwszy za roztargnienie zaczęła mówić o okresie paskiewiczowskim. Prowadziła wykład, a uparta myśl nasuwała jej przed oczy obrazy z niedalekiej przeszłości.

„Słoneczna niedziela. Przed domem zatrzymuje się wojskowy wóz, wyskakuje z niego mąż, jak zawsze uśmiechnięty, pogodny i dobry. Jak on się zmienił, a może i ja się zmieniłam w ciągu tych kilku lat rozłąki? Bawi się z dziećmi, przewraca z nimi koziołki, pozwala wchodzić im na kark. Kochany..."

Wszyscy wiedzą, że z wykładowczynią dzieje się coś dziwnego. Oto ona, urzekająca zawsze pięknem swych słów, milczy od kilku minut, a na wstępie pomyliła się tak strasznie. W sali wzrasta napięcie nerwowego oczekiwania. „Co to będzie?"

„...A później ten pierwszy straszny list. Aresztowany wraz z grupą innych oficerów pod zarzutem zdrady Ojczyzny..." To przecież nieprawda... to nieprawda... Znam go od dziewiętnastu lat. On nie był zdrajcą..."

Uczniowie nie mogą wytrzymać. Nie mogą patrzeć na „panią profesor", jak oparta o pulpit, lekko pochylona w stronę sali, spogląda na nich niewidzącym wzrokiem i trwa w milczeniu.

„...Jakim on zawsze był optymistą. W jego listach z więzienia, starannie cenzurowanych, przebijała zawsze jedna nuta: „To się wyjaśni, to się musi wyjaśnić. To jakieś nieporozumienie..."

Myśl pracuje normalnie, myśl nie zawodzi. Przesuwają się w wyobraźni długie miesiące wyczerpujące pracą, przerywane odwiedzinami listonosza, wypełnione oczekiwaniem i nadzieją. Myśl nie zawodzi, przypomina dzisiejszy list. I oto w mózg pracujący dotąd sprawnie wkręca się ból, ostry, przeszywający. A potem znów mlecznobiały tuman i szczęśliwa niewiedza.

Uczniowie zauważyli tylko, że „pani profesor" powoli osunęła się za pulpit i prawie natychmiast upadła na podłogę.

— Zemdlała... zemdlała...

Wybuchł niesamowity gwar. Ktoś pobiegł po dyrektora szkoły, ktoś przyniósł wodę, wszyscy obstąpili leżącą. Dyrektor zjawił się prawie natychmiast. Rozkazał uczniom usiąść w ławkach, silniejszym kazał odnieść zemdloną do pokoju nauczycielskiego. Sam zebrał rozsypane kartki konspektu. Właśnie wtedy wpadł mu w rękę list. Przeczytał półgłosem:

„Mąż obywatelki został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie za zdradę Ojczyzny. Wyrok został wykonany".

Pokiwał głową jak człowiek, dla którego wszystko jest jasne, a następnie zwrócił się do uczniów:

— Jesteście wolni. Dzisiaj lekcji historii nie będzie.

DEBIUT

IRENA KOZIEJOWSKA

Samobójstwo księżycowe

Przytępione pazury
żal ostrzy o brzeg serca.
... Brzytewny łuk księżyca
pył mlecznych chmur okolił...
A serce? — cóż —
nie tarcza to szlifierska,
więc boli...

Srebrzony sierp śródgwiezdny
na szyi położę.
... Gdyby tak klucz żurawi
zamknął drzwi z szelestem...
Ruch na wpół przemyślany
a na wpół bezwiedny
i oto nagle jestem
sierpniowym zbożem...

Srebrny łabędź na nitce się kołysze.
Ostatni śpiew łabędzi. Ostatni lot...
Milionem świetlnych kropel
blask mota się na ciszę
i orzech włoski wisi
w złoceniach sztucznych złot.

Gdyby tak ostry krzyk
skierować
w własne piersi...

... Jestem przez mgnienie ciszą,
którą przebija krzyk.
Gromnica mi się pali,
ogromna, księżycowa...
Słodko umrzeć na moment
w seledynowej wersji.

Bandaż zbielałych śmiechów
szczelinę w piersi sczepił.
— Rozchyl jej brzegi. Widzisz?
Tam serce się trzepocze...
Jasnowidzące serce,
co wszystko wie najlepiej...

Żachnął się cień nadziei,
przesłonił ręką oczy.
Czy serca się tak przeląkł,
Czy blask go tak oślepił?

---

nych postaci. Jak zobaczymy, następstwo tych form nie będzie przypadkowe: rządzi nim pewne wyraźne prawo. Przyglądając się tej ewolucji, dostrzeżemy również, jak bardzo rozszerza się zasięg wielkiej problematyki cywilizacyjnej i moralnej, dzięki której przeżycie erotyczne podlega obiektywizacji i uniwersalizacji, jak nowatorsko odnawia gatunek, jak głęboką przemianę ujawnia cała poetyka Norwida.

* * *

Nie wiemy, ile wczesnych erotyków Norwida przepadło w rękopisach czy też czasopismach, skoro pierwszy z drukowanych (ogłoszony świeżo w *Okruchach poetyckich i dramatycznych* Norwida przez J. W. Gomulickiego, PIW, 1956) nosi tytuł *Mój ostatni sonet*. Może istotnie zamyka on cały cykl zaginionych sonetów? Może tytuł jest mistyfikacją, żartobliwą aluzją do sonetomanii ówczesnej? Stworzył go przecież młodziutki, dziewiętnastoletni poeta (1840) w epoce wielkiego ciążenia tradycji poetyckiej w tym zakresie. Toteż w utworze tym nic jeszcze własnego: wyraz bladziutkich uczuć tak jeszcze bladziutki i banalny! Słyszymy na początku zapowiedź, że chwila pożegnań będzie „oniemiałą". Gdzież tam! Kwili i to kwili epigońskim już językiem romantyzmu: „Żegnam Ciebie, o luba, żegnam cię na zawsze". Wierszyk toczy się gładko i spokojnie uregulowanym korytem sonetu. Ani śladu tu jeszcze „ascetycznego liryzmu", który „chodzi w sandałach" albo „boso i z kijem w ręku", z dojrzałych lat poety, ani śladu dynamizmu hamowanych uczuć, których ogień tak dymi przez słowa... Nie ma także napięcia bólu, prawdziwych łez — jest tylko łezka, którą może lube oko uroni w rozstania godzinie.

Zatrzymaliśmy się przy tym słabiutkim wierszyku tylko po to, by wskazać na dystans, dzielący dojrzałe erotyki Norwida od tych szkolnych wprawek poetyckich.

Wyjazd za granicę (1842) zdecydowanie odcina epigoński, niesamodzielny okres twórczości Norwida od następnej fazy wykuwania własnej poetyki. Oczywiście dojrzewanie do samodzielności artystycznej przychodzi stopniowo. Jeszcze wiersze z lat 1844—5 chodzą nieraz w dawnych szatach, „dla kogo innego utrafionych", np. elegancki, chłodny erotyk *Pamiątka*, typowo sztambuchowy liryk, błyskający już jednak ostrzem własnej ironii („Ty westchnij! Smutek uzalotnia wdzięki"). Pewne motywy łączą go z pierwszym: wyłaniający się z wiersza obraz kobiety zimnej i niewiernej, pewność zapomnienia i motyw pożegnania, owe „bądź zdrowa", refren także późniejszych utworów („*Żegnam, ave* — znaczy także *bądź zdrowa*" — List do M. Trębickiej z 1857 r.).

Ten sam refren zamyka także *Trzy strofki* (1854). Dojrzałość poetycka wyraża się tu kunsztem syntezy: jedna zwrotka wystarcza poecie, by rzucić portret wielkiej damy na tło jej świata, który oduczył ją czuć i myśleć i żyć naprawdę:

I nie myśl, jak cię nauczyli w świecie
Świątecznych uczuć, świąteczni czciciele,
I nie mów, ziemskie iż są marne cele —
Lecz żyj — raz — przecie!...

„Świąteczne uczucia", kultywowane w rozmowach salonowych to właśnie owa koncepcja „miłości czystej", „nadzmysłowej", o jakiej ironicznie mówi też *Trylog* (1849), bardzo oryginalny wiersz o dwóch profilach kobiecych, pożegnanych podobnie ironiczną pointą. Trzecie słowo *Trylogu* to zimna oferta towarzyskich hołdów damom — w dowolnym stylu:

Bardzo ładnie — owszem — służę —
Romantycznie albo z grecka

Po dwukrotnym zawodzie i w stosunku do „Nadzmysłowej, Jasnej pani sideł" i w stosunku do tej miłej, serdecznej, która też — kłamie, pozostaje tylko wytworny flirt na tle pięknych dekoracyj, oczywiście krótkoterminowy: „Zawsze pewność, że *niedługo*".

Począwszy od amerykańskiego epizodu w życiu Norwida (1853—54) charakter erotyków zmienia się znacznie: motyw miłości obrasta nową, wielką problematyką, związaną z istotną treścią życia człowieka i jego powołania. Wahać się nieraz wypadnie, czy wolno wiązać miano wierszy miłosnych z wstrząsającym listem poetyckim do Marii Trębickiej: „Pierwszy list, co mnie doszedł z Europy..." czy też „Smutną zaśpiewam pieśń" — tyle w nich spraw innych: relacja z podróży, próba określenia swojej pozycji „nadkompletowego aktora", rozprawa z nieprzyjaciółmi... Jednocześnie zaś wyczuwamy w tych wierszach stałą obecność drugiej osoby, obecność współczującą, która pozwala poecie w ciszy „upuścić słowo" z nadzieją, że słowo to będzie czyjąś dobrą ręką podjęte.

Od czasów amerykańskiego kryzysu narasta też bolesność liryków miłosnych. Wiersze takie jak *Trzy strofki*, *Beatrix*, *Malarz z konieczności*, *Czemu* czy też wstawki liryczne w *Za kulisami* łączy motyw zupełnej i nieuchronnej klęski w zetknięciu z kobietą „świata tego", do której można by odnieść rzucone w finale jednego z liryków (*Beatrix*) ironiczne miano — „Realności wdowo!". To peryfrastyczne określenie

(Dokończenie na str. 10)

ZYGMUNT MIKULSKI

W pokoju zegar

W pokoju bije zegar
— zasłuchany w czas —
w pokoju bije zegar —
odmieniony odpłynę.

To serweta, a tutaj
gałązka, a tu
rozłamana w nutach
i zmieszana z winem.

Papier chrzęści na wietrze,
słone wieje powietrze,
żagle kartek ku nieznanym krainom.

Żeglarz pióra usnął,
księżyc zaświecił gusłom,
wtedy statek odpłynął.

(Kłują kolce gałęzi
księżyc, jak owoc agrestu;
wiatr zaplątany w uliczkę
wieje wskroś i na przestrzał.

Księżyc? Nie. to semafor,
wagony się zderzą ze świtem.
Noc jest dziurawą blachą,
noc jest dźwięczącym mitem.

Jeszcze strycharz pajęczy
prowadzi nić, jak promień
oczyścił sadzę z tęczy
wspomnień.)

W pokoju bije zegar.
Uderza świetlisty gong.
Nigdzie dziś nie pojadę.
Zostanę w złamaniu rąk.

O poezji miłosnej Norwida

(Dokończenie ze str. 9)

wyraża najpewniej rozbrat wielkiej damy z rzeczywistością — sumiennością dnia codziennego. Kobieta świata zerwała więź z rzeczywistością, pogrzebała ją — jest już wdową.

W wierszach tego okresu odrzuca poeta formę monologową — formę bezpośredniego wyznania. Odtąd będzie sięgał poeta po strukturę dialogu, gdzie w ostrym kontraście zestawione zostaną dwa podmioty liryczne: wielka dama i jej partner. Takie liryki udialogowane to *Malarz z konieczności i Beatrix* (oba ok. 1861 r.). Zwłaszcza ostatni utwór zaciekawia inwencją twórczą: składa się z dialogowanego prologu i Ody, która stanowi jakby wiersz w wierszu. Z żartobliwej rozmowy w salonie (bo taki jest początek prologu) wykwita nagle poetyckie credo, potem zaś zamówiona przez pannę Oda do kobiety. Jest ona wstrząsającą spowiedzią człowieka z jego życiowych zmagań, w których nie towarzyszyła mu prawdziwa miłość kobiety:

Bo byłem smutny — a kto przyszedł do mnie?
Nie ty — o pani!
Gdy krew i ogień i fala koło mnie
Wrzały z otchłani.

W odzie tej rozmawia też poeta z Eurydyką i Andromachą. Wielkość jego cierpień daje mu prawo do takiego spotkania — i do wzmianki o Eneaszu, choć w więszym niż Eneasz poniżeniu zszedł do otchłani. Silna, śmiała metafora podsumowuje los poety:

Gdym nogę bosą stawił z dumą wielką
Na zamieć czasów,
A nie splamiłem ci łzy mej kropelką
Wstążek, atłasów!...

Szczególną pozycję ma wiersz *Czemu*, liryk przeznaczony do cyklu *Vade Mecum*, cyklu, który miał rozpocząć „skręt w poezji". Do wiersza tego przywiązywał widać poeta niezwykłą wagę, skoro zużytkował go trzykrotnie: w postaci odrębnego erotyku, jako wkładki w noweli *Stygmat* i jako pieśni — monologu w komedii *Miłość czysta u kąpieli morskich*.

Piękno i dynamizm tego wiersza — to bardzo rozległa skala wzruszeń. Tak zresztą jest i w *Beatrix*, gdzie od chłodu konwencjonalnej rozmowy przerzuca się poeta do spowiedzi z cierpień życia, do dumnego stwierdzenia swego triumfu nad zamiecią czasów. Tu cały wiersz gra się na ostrej krawędzi żartu i najgłębszego serio. Ten żart jest okrutnym żartem z siebie, z żałosnej, ale i smiesznej sytuacji nieszczęsnego wielbiciela, przeczekującego legion innych w salonie wielkiej damy. Końcowe partie wiersza wyprowadzają z atmosfery salonu w bezlitosną noc, „gdzie gwiazda się żadna z miejsca nie poruszy,

Jakby nie było w Niebie żywej duszy;
Jakby nie mówił nikt Niewidzialnemu,
Że trochę niżej — tak wiele katuszy!
I nikt przed Bogiem nie pomyślił: czemu?

Pytanie to przewija się przez cały wiersz, zanim zostanie rzucone — Bogu. Jest to pytanie o sens miłosnego cierpienia, o sens bezpłodnych, zmarnowanych uczuć, zdeptanych atłasowym trzewiczkiem wielkiej damy.

Do tej samej sytuacji nawiązują piękne, obolałe erotyki — pieśni śpiewane za kulisami *Tyrteja*. Włożył je tam poeta w usta postaci symbolicznych, postaci — marionetek, Pazia i Mandolina i związał z całą akcją dramatyczną, w której wielka dama wzgardzi sercem poety. I tu wraca natrętne pytanie: A czy też ona wie? Czy wie, jak kończy się pieśń miłosna, jaki jest kres miłosnego cierpienia? Że kresem tym jest śmierć? Ona, w której już kłamie wszystko prócz cienia! I w tych wierszach boleść śmiertelnie zranionego uczucia wznosi się do bardzo wysokiego tonu.

Bywałem ja od Boga nagrodzonym
Rzeczą mniej wielką:
Spadłym listkiem, do szyby przyklejonym,
Deszczu kropelką.

Czy zawsze w poezji Norwida miłość niesie tylko cierpienie? Czy zawsze skazana jest na bezpłodność i rozdziela zamiast łączyć?

W erotykach, których tłem jest współczesność, istotnie miłość zawsze kończy się rozdarciem. Taka jest dialektyka owej atmosfery społecznej, którą oświetlają listy Norwida. Inaczej jest tylko w wizjach przeszłości, w obrazie ateńskiej harmonii, w legendzie o miłości Juliusza Cezara i Kleopatry, w marzeniu o przyszłej Polsce „przemienionych kołodziejów" (*Echa*). Tam możliwy jest doskonały zestrój dwojga istot, tam tylko kobieta wiernie wytrwa przy mężczyźnie w dniach klęski. Tam tylko — w tragediach i poematach — spotkamy pozytyw obrazu, którego negatyw tworzyły drobne liryki erotyczne.

Równolegle więc do ironicznych erotyków dojrzewa obraz miłości zupełnej, której samo istnienie jest zawsze szczęściem. „Miłość zupełna jest zawsze szczęsną!.. dlatego, że jest!". Pierwszym, najwcześniejszym głosem takiej miłości jest parafraza Pieśni nad pieśniami w utworze *Psalmów — psalm* (1850) Jedyny to też wyraz prawdziwie zmysłowej miłości — zresztą z zachowaniem tych perspektyw symbolicznych, jakie są w Biblii.

Wizję miłości zupełnej, ujawnioną rozmową nad jeziorem, przynoszą *Echa* (1856), utwór programowy, opatrzony dewizą „Jak te Echa usłyszysz, to będzie Polska — ale pierwej nie będzie Polski". Warunkiem Jej powstania jest harmonia społeczna, czystość serca, czystość Kościoła, ale i prawdziwa miłość erotyczna. Mężczyzna jest tu — jak zwykle u Norwida — rycerzem wielkiej idei, walczącym w spuszczonej przyłbicy, bezimiennym bohaterem, kobieta — jego towarzyszką i współuczestniczką trudów. Ma mu ona do ofiarowania tylko czyste i serdeczne uczucie:

Nie wiem — co powiem — co zrobię,
Nie wiem — ale spoglądam w niebo okiem stałym
I czystym — i wiem... że cię — kocham sercem całym.

W jednym zdaniu wyraża się też miłość Eginei do Tyrteja (tragedia o Tyrteju): „Ja będę z Tobą". I tu miłość jest wolą udziału w całym życiu drugiego człowieka, w jego zwycięstwach i gorzkich klęskach. Taka miłość „to Grecja cała — to wolność, to prawda i to świętość" — mówi Tyrteusz.

Nie dojdzie do trwałego połączenia Juliusza Cezara i Kleopatry. Ale przeżycie wielkiego uczucia jest już szczęściem. Kleopatra — wcielenie kobiecości w tragedii Norwida — uogólnia to przeżycie: „dostrzegłszy promień światłości serc", warto iść za nim do końca, ufając, że

...być nie może na nic taka boska
Rzecz — taka boska!... bo miłość boska jest.

W obu tragediach historycznych zjawia się prawdziwy dialog miłosny. Nie mógł on powstać w komediach o życiu współczesnym, na tej „żywota maskaradzie", gdzie ludzie mijają się, nie mogąc nawiązać istotnego kontaktu, więc i prawdziwego dialogu.

Wspomnieliśmy o pewnym prawie, rządzącym kierunkiem rozwoju poezji miłosnej. Liryki w pierwszej osobie pisane — nikną, na ich miejsce stają formy dialogowe. Kryje się „ja" liryczne, wiersze miłosne jawią się już tylko w ustach udramatyzowanych postaci. W ten sposób wyraża się potrzeba większej obiektywizacji tematu, odsunięcie się od niego na odległość poetyckiej transpozycji, na odległość metafory.

I oto w późnej twórczości raz jeden poeta jakby zawraca z obranej drogi: wyrzeka się maski postaci dramatycznych, wraca do pierwszej osoby, do struktury wspomnieniowej. Dzieje się tak w jedynym wielkim poemacie miłosnym Norwida: *Assunta czyli spojrzenie* (1870). Spojrzenie to — jest spojrzeniem ku Niebu. Najdojrzalszy to i najpełniejszy utwór miłosny Norwida, „ summa poetica" jego poprzednich wypowiedzi. Usiłowano go odczytać jako zaszyfrowany traktat filozoficzny; oczywiście niesłusznie. *Assunta* jest dojrzałą poetycką apoteozą miłości, takiej miłości, która — jak prawda — tylko „myślą, uczuciem i życiem razem może być objęta". Stąd właśnie w utworze przejmujące akcenty wyznań, formułujących ostateczny sens życia i losu poety.

Nie przypadkowo bohaterka nosi imię Assunty (-wniebowzięta), nie przypadkowo też jest to dziewczyna niema. Jedyny niemal gest, w jakim ją oglądamy, to gest wzniesienia oczu ku niebu, gest ofiarny, który nie oznacza jednak wcale pogardy dla ziemi i życia. Assunta jest towarzyszką na każdy dzień i każdą myśl. Wyraża to metaforycznie podróż poety: „Nad Eufratem byłem z nią (...) Bywałem w wiekach razem i w godzinach żywej historii (...) Przeszedłszy okopy rzeczywistości z wesciem i siłą".

Assunta umiera — narrator traci swą ukochaną, ale nie traci nic z wielkich dóbr, jakie przez nią zyskał. Miłość dała mu poznanie, „zdwojone czucie i widzenie". Jeśli zrodziła także wielką boleść, to „bezmowne cierpienie" stało się też wołaniem, wołaniem ostatecznym, „wniebogłosem".

Jest też pewien testament miłości, który trzeba właściwie odczytać. Pomaga on wrócić do życia, odnaleźć jego sens, odnaleźć braterstwo z człowiekiem. Wyraża to w *Assuncie* metafora dostrzeżonej nareszcie drogi do domu:

Zboczyłem w ścieżki, gdzie wraz się odkrywa
Na chatę widok, drogę doń i żniwa.

Irena Sławińska

STEFAN WOLSKI

Rozmyślania

Nieba bezdenny kryształ:
ekran nocy.
Słońc i planet karnawał
wysoko.

W ekran nieba
wznosili kiedyś Atlanci,
jak ja,
oko.

Kontynenty minęły i ludy;
te same gwiazdy nade mną
dziś...
Jak dysk szybuje epoka atomu,
jak dysk.

Jeśli człowiek sprowadzi
jakąś straszliwą pandemię
na świat,
jeśli po nim zaginie ostatni życia
błysk,

przed kim milczeć będzie
podobnej nocy
dzwon?
Po niebieskie karaty
czyje oczy znów sięgną
stąd?

— — — — — — — — —

W godzinie wieczornej,
w miękkiej godzinie bez pragnień,
czytając Tomasza Manna...

W godzinie wieczornej,
w sekundzie jak wybuch nagłej,
— a grzmią fugi w organach —

W godzinie wieczornej,
w chwili jak światło białej,
która myśl zmienia w tnący krzemień...

W tej to godzinie
widzisz, jak wszystko jest małe,
prócz ciebie,
na ziemi.

— — — — — — — —

Jeśli człowiek zarazi
jakąś straszliwą chorobą
świat,
jeśli po nim zaginie
nawet
ślad,

przed kim milczeć będzie
podobnych godzin
dzwon?
Po światło natchnienia
czyje myśli znów sięgną
stąd?

1957 r.

ANDRZEJ TURCZYŃSKI

*
* *

Jurkowi Łabęckiemu

Na przystanku tramwajowym
między Cierpieniem a Miłością
poeta czeka
i rzeźbi chwile rozterek
w kamieniu czasu
mijają go wozy

a on
trwa
złamana
ledwo tląca się żagiew
skrytego uczucia
w oczekiwaniu
samego siebie

Moje jady

(Dokończenie ze str. 6)

i wyszukane kształty zalatuje raz po raz zapaszek zgnilizny, psując wszystko.

„Ruy Blas" przesądza do reszty sprawę Wiktora Hugo, o ile w ogóle były tu jeszcze jakieś wątpliwości. To świadectwo nieuleczalnej choroby, wystawione na pergaminie, z herbami, zawijasami oraz inicjałami, kapiącymi od złota i purpury, niby lokaje w jego sztuce.

Moje stosunki z Wiktorem Hugo są obecnie bardzo proste. Można je streścić następująco: w istocie rzeczy jesteśmy nieprzyjaciółmi, śmiertelnymi nieprzyjaciółmi. Przez wzgląd na nas samych i na innych wypada nam tylko zachować godność i pozory.

Jeśli zaś idzie o jego utwory, sąd mój jest nie mniej stanowczy. Nikt nigdy nie będzie myślał o jego poezji lepiej, niż ja o niej mówiłem, i nikt nie będzie mówił o jego dramatach gorzej, niż ja o nich myślę.

W czasie dyskusji, którą starał się wszcząć w Izbie Parów na temat działania Oceanu na wybrzeża, Hugo był całym sobą. Przypominał wieloryba, co zapędził się do kanału La Manche i tam ugrzązł.

Hugo dramaturg to Kaliban pozujący na Szekspira.

Hugo jest zarazem gruboskórnym i naiwnym (mówiłem to już nieraz i powtarzam tutaj za osobą, która zna go jeszcze lepiej ode mnie). Juliette, choć już niemłoda, trzyma go niskimi pochlebstwami, na które Hugo chwyta się jak ryba na haczyk. Aktor Fryderyk powiedział od razu pierwszego dnia: „Złapie go, mówiąc mu: Jakiś ty wielki! a utrzyma, powtarzając: Jakiś ty piękny!". Hugo chodzi do niej codziennie, bo chce usłyszeć: „Jaśniejesz jak słońce", i Juliette mu to mówi. Pisze mu to nawet w rachunkach kuchennych, które przedstawia mu do wglądu (bo w tych sprawach z Wiktora wyłazi sknera). Tak to wygląda: „Otrzymałam od mego najdroższego ...otrzymałam od mego króla ...od mego cudnego Wiktora ...tyle na rynek, tyle na pranie... piętnaście sous, które przeszły przez jego cudne ręce"...

Lubię autorów, którzy będą coraz bardziej cenieni, w miarę, jak ludzie będą coraz inteligentniejsi i kulturalniejsi. Jeśli zaś idzie o Wiktora Hugo, będą go podziwiać tym bardziej, im bardziej świat będzie gruboskórny. Wówczas to będzie można powiedzieć, iż jego walory rzucają się w oczy.

Czytając obecnie Wiktora Hugo jesteśmy, jak mi się zdaje, w położeniu człowieka, który przechadza się po wspaniałym, orientalnym ogrodzie, zaprowadzony tam przez dobrego Geniusza. Ale mały, ohydny karzeł (...) każe nam płacić za tę przyjemność okładając nas kijem po nogach. A wspaniały geniusz zdaje się nie mieć pojęcia o poczynaniach karła. Jesteśmy równocześnie udręczeni i zachwyceni, olśnieni i przybici.

Wiktor Hugo to człowiek o właściwościach niezwykłych, a zarazem: pełnych dysproporcji. Jego powieść „Nędznicy" zawiera w sobie wszystko, co kto chce, jeśli idzie o zalety, braki i brednie. Ale jednak Hugo, od jednastu lat wygnany, dał dowód obecności, siły i młodości. To samo w sobie jest nielada osiągnięciem.

Rzecz zadziwiająca: Lamartine obecny to najbardziej harmonijny, najbardziej natchniony, najwznioślejszy i najbardziej czarujący z durni.

W swej świetnej replice z trybuny parlamentarnej, Guizot zapytał wzgardliwie Lamartine'a, skąd się tu właściwie bierze. Jestem pewien, że idąc za pierwszym odruchem Lamartine byłby mu powiedział: Zstępuję z niebios, gdzie siedziałem na prawicy Boga Ojca, a co więcej sam jestem Bogiem Ojcem.

U Merimée'go podłoże „fashionable" powściąga i mrozi artystę.

Sukces uroczego „Kaprysu" Musseta przynosi zaszczyt publiczności, dowodząc, iż można jeszcze budzić subtelne emocje literackie, jeśli kogo stać na to.

Musset ma niezwykły dar pastiche'u. Jako młodziutki chłopak wzorował się na Kazimierzu Delavigne, pisał elegie à la André Chénier, ballady à la Wiktor Hugo; potem przerzucił się na Crebillona-syna. W dalszych latach wyrobił sobie fantazję bardzo zbliżoną do szekspirowskiej, dołączając do niej wylewy liryczne à la Byron; przetworzył „Don Juana", mieszając doń Woltera. Wszystko to składa się na swego rodzaju oryginalność... E pure... Można by powiedzieć, że większość jego ładnych wierszy i „sainetes" to przekłady, nie wiadomo z jakich oryginałów, a jednak przekłady.

Balzac to lekarz (i po trosze stręczyciel) chorób skórnych i brzydkich chorób, coś pośredniego między Alibertem a Cullierem. Jest w nim coś z pokątnego lekarza, który wchodzi do alkowy kuchennymi schodami, coś z fryzjera i szarlatana. Dawniej postawionoby go przed sąd za rzucanie uroków. To handlarz damską galanterią, który kupuje, sprzedaje i... stręczy.

Henryk IV zdobywał miasto za miastem, aż podbił całe królestwo. P. de Balzac podbijał sobie chorobę za chorobą, aż zyskał całą chorobliwą klientelę (dziś są to kobiety trzydziestoletnie, jutro będą pięćdziesięcioletnie, pojutrze chore na wątrobę, w „Klaesie" ułomne). Nigdzie ani słowa o zdrowych.

Ampère powiedział o Balzacu: To dziwne, kiedy przeczytam coś takiego (pewne opisy lepkie, wstrętne, trywialne) mam ochotę umyć sobie ręce i wyczyścić ubranie.

Balzac nawet w swych najlepszych powieściach zachował coś z swych nieświetnych i że tak powiem kuchennych początków.

Każdy krytyk ma swą wybraną zwierzynę, na którą rzuca się i którą ćwiartuje z lubością... Dla mnie jest nią Balzac.

Przez długi czas przebywałem u boku tej, co napisała „Lelię", jakoby nad brzegiem przepaści, okrytej wspaniałą, bujną roślinnością: podziwiałem ją, skryty w wysokiej trawie. Ale pewnego dnia nachyliłem się i przejrzałem. O quanta Chybridas!

Pyat (....) powiedział o niej doskonale: George Sand jest jak Wieża Nesle, pożera kochanków, tyle tylko, że potem, miast wrzucać ich do rzeki, układa ich na spoczynek w swych romansach.

Pani Dudevant robi świństwa, a pisze wznosłości. Pochlebia sobie, że nikt nie uwierzy faktom, a frazesy przetrwają. Uważa się za wspaniały, dalekomorski statek, któremu wolno mieć ściek odpowiednio duży.

Aleksander Dumas mówił o „Żyrondystach" Lamartine'a: „Wzniósł tam historię na wyżyny powieści". Tenże sam Dumas powiadał: „Cóż to takiego historia? To gwóźdź, na którym wieszam me obrazy".

Saint-Simonizm, oglądany z bliska, pomógł mi zrozumieć ,jak powstają religie z ich różnorodnymi kryzysami, a nawet (bardzo przepraszam), pomógł mi zrozumieć Port-Royal i chrześcijaństwo. Podobnie ma się rzecz z doświadczeniami chemicznymi: mieszamy ta i owo w probówce, a potem lepiej rozumiemy istotę meteorów.

O ile literatura nie uszlachetnia zdecydowanie tych, co ją uprawiają — czyni ich gorszymi.

Tłum. z franc. *Anna Jakubiszyn*

Pamięć serdeczna

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Najtrudniej chyba jest oceniać i analizować wspomnienia znakomitych pisarzy. Cóż tu chwalić lub ganić? Trwałość pamięci, plastyczność wyobraźni, sympatię czy zawiść wobec dawnych czasów i ludzi? Sprawa komplikuje się tym bardziej, że w naszej miłości do pamiętników, autobiografii i innych literackich odmian wspomnień główną rolę odgrywa ciekawość, pozbawiona prawie zupełnie tęsknoty do przeżyć estetycznych. Może dlatego już w dzieciństwie przekładamy zwykle wspomnienia naszych rodziców i dziadków z ich młodości nad wszelkie baśnie i legendy...

Dwie książki Marii Dąbrowskiej *), będące właściwie wznowieniami (*Myśli o sprawach i ludziach* są przecie zbiorem prac publikowanych już przedtem), mają w sobie coś z daru pisarki ofiarowanego dorosłym dzieciom. *Uśmiech dzieciństwa* — w tym tytule jest już zawarta treść „szczenięcych lat" autorki *Nocy i dni*, *Myśli o sprawach i ludziach* — to, na odmianę, pamiętnik dojrzałych lat pisarki, wspomnienia z jej lektur, notatki ze spotkań z mniej i więcej znanymi ludźmi, refleksje nad sprawą najboleśniej serdeczną dla artysty: literaturą i kulturą. Właściwie, gdyby cały dorobek literacki Dąbrowskiej uległ niszczącemu kataklizmowi — te dwie niewielkie książeczki wystarczyłyby dla rekonstrukcji nie tyle twórczości przyjaciółki Bogumiła i Barbary Niechciców, ile jej samej w całej żywości i ostrości temperamentu i intelektu.

I tutaj chwytam, zaznaczoną na wstępie, trudność za rogi: przecież w kompetencji krytyka literackiego nie leży ocena pisarza jako człowieka, żywego — nie: umownego! — nosiciela całego skomplikowanego świata, wyłaniającego się z chaosu (choć to w stosunku do Dąbrowskiej bardzo chybione określenie) doznań psychicznych, przeżyć intelektualnych. Gdyby chociaż wspomnienia Marii Dąbrowskiej można potraktować jako prolegomena do jej twórczości artystycznej *sensu stricto*, gdybyż wolno było tę recenzję zamienić na żmudne, nudne i pedantyczne, ale mimo wszystko uchwytne wyłapywanie wszystkich filiacji i koneksji *Uśmiechu dzieciństwa* i *Myśli z Nocami i dniami*, *Dziećmi Ojczyzny*, *Gwiazdą zaranną*. Ale już po kilku próbach w tej mierze czujemy, że nie w tym rzecz, że wspomnienia Marii Dąbrowskiej nie zostały utrwalone po to, aby przede wszyskim pełnić obowiązki źródła i asystentki historii literatury.

Różna jest pamięć pisarza, odnotowującego swoje wspomnienia dla potomnych: trwalsza od rzeźbiarskiego kamienia, ostra i tnąca przeszłość niby nóż chirurga, optymistyczna, czasem aż zaróżowiona lakierem jak oleodruk z dawnych czasów. Pamięć Marii Dąbrowskiej jest serdeczna, a w jej wspomnieniach znajduje znakomite, choć opanowane ujście liryzm, który musiał być tłumiony w epickiej twórczości pisarki. Zwłaszcza w epizodach z dzieciństwa Dąbrowskiej odczuć można wielką ulgę, jaką autorce *Uśmiechu* sprawia świadomość, iż wolno jej od czasu do czasu przestać kurczowo trzymać się rzeczywistości i przenieść się w strefę snu, baśni i fantazji.

Oczywiście: o wiele trudniej barwić liryzmem i serdecznością *Myśli o sprawach i ludziach*, gdzie wywołuje się z przeszłości czyny postaci dawno zmarłych, odgłosy zdarzeń dawno przebrzmiałych, po których został niejednokrotnie tylko suchy zapis kronikarza i uczonego. Ale — rzecz dziwna: na kartach niewielkiej książeczki Dąbrowskiej ożywają nie tylko znani i kochani osobiście przez nią Stefania Sempołowska, Stanisław Stempowski, Aniela Zagórska, Stefan Jaracz, lecz także uważnie czytani i skrzętnie badani przez jej myśl i wyobraźnię Samuel Pepys, Mikołaj Gogol, Bolesław Prus. Zdawałoby się, że niewiele nowego, a przede wszystkim świeżego można powiedzieć o tych pisarzach, aż nadto przeżutych i przetrawionych przez polską, rosyjską i angielską historię literatury. Tymczasem — spojrzenie Dąbrowskiej na przeszłość potrafi ją oryginalnie i atrakcyjnie

(Dokończenie na str. 12)

WACŁAW GRALEWSKI

MÓJ OJCIEC

Mój ojciec Sandoff Hieronim
(nazwisko nierzeczywiste)
jest znanym fabrykantem broni,
a ja chcę być wielkim artystą.

Mój ojciec Sandoff Hieronim
oczy ma jak bazyliszek.
A ja cichy i skupiony
wiersze o miłości piszę.

Mój ojciec, fabrykant broni,
świat widzi przez szyby Packarda
— sens życia w głębokim ukłonie,
składanym przez mdłego stewarda.

A dla mnie w połyskach wieczoru,
w księżyca świetlistych pieszczotach
jest symbol trawiony kolorem
— jak w freskach cierpkiego Giotta.

Mój ojciec, gdy słyszę to imię
to z buntem się miesza tęsknota,
— jak gdyby w nim, Hieronimie,
krew zabarwiała się złotem.

Jak gdyby w przeznaczeń udrękach
znaczonych werblami powrotów
był stygmat szalonej piosenki
w treść życia wpisanej jak motto.

Jak gdyby w tajemnic strumieniu,
płynącym jak tło na portretach,
barwa stawała się brzmieniem,
— milczenia miłosnym sonetem.

— — — — — —

Słów wachlarz rozwija się wolno
by serca odgrodzić spojrzenie
— na myśli, jak ścieżce polnej
złotawym położyć się cieniem.

Z jedwabnych natchnienia szelestów
wyzwolić, jak znak na zasłonie,
prawdę swojego jestestwa,
snów słomę, niszczącą jak płomień.

— — — — — —

W rudawej obrazów pomroce
coś z błysków wyłania się toni,
to patrzy uparcie w me oczy
cyniczny mój ojciec, Hieronim.

W bezbarwnym jak z gipsu obliczu
rdza stłumień osiadła nad czołem,
zmęczonym fałdami przemilczeń
i źrenic migotem mnie woła.

Spod powiek, jak wata zwiotczałych
uśmiechem szyderczym mnie wabi
i w ręce od zwątpień nabrzmiałe
miast pióra mi wciska karabin.

Jak fantem obleśnej przygody
pieszczotą wspomnienia łaskocze,
tak pragnień skowytem Hieronim
przenika dni moje i noce.

— — — — — —

Wrak losu nastawia swe żagle.
Wiatr tęsknot gra rytmem w mych
płucach

Lecz fala z mych marzeń korablem
na brzeg mnie, jak rybę, wyrzuca.

Mój ojciec, złudzeń fabrykant,
jak poświst daleki się śmieje.
Słów magia swój rozdział zamyka
kolędą dobrej nadziei.

LIŚĆ WAWRZYNU

(Dokończenie ze str. 7)

rozległe łąki chodził do miasta, by różnych „mecenasów" zdobyć potrzebną lekturę. „Wolę już głód — stwierdzał — niż brak drukowanego słowa". I była w tym rzetelna prawda. Ten człowiek, zakrojony na liście renesansową miarę, potrafił ze stoickim spokojem znosić nędzę, ale nigdy nie obywał się bez książki. Straciwszy na starość wzrok, kazał synowi czytać ulubionego Prusa.

Ostatni raz odwiedziłem go w jesieni 56 roku. Był w doskonałym humorze, pogodny i niemal szczęśliwy. Cieszył się, że Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza podjęła się wydania jego wierszy. Mówił o tym z ogromnym przejęciem. Tylko wątpił, czy doczeka tej upragnionej chwili. „Wiecie przecież, żem bardzo stary. Mam 86 lat". Uderzyła mnie przytomność jego umysłu. Przyznał się, że jeszcze od czasu do czasu dyktuje synowi nowe sonety. Czuje je w sobie, chodzą po jego głowie, jak w latach młodości. Niepokoją swoim kształtem, barwą, treścią. Musi je usunąć z wnętrza. A potem znowu wrócił do mających się ukazać w 1957 roku poezji. Odżyła w nim pasja bibliofila. Zarzucił mnie pytaniami. Kiedy wyjdzie książka? A czy na pewno? Jaki będzie jej kształt, format? Czy będzie ładnie wydana, ze smakiem? Czy nie byłoby dobrze wprowadzić do niej przerywniki, a koniecznie inicjały? Prosił, by tomik ukazał się w niewielkich, miniaturowych rozmiarach. „Pamiętajcie, że lubię drobiazgi, a jeżeli chodzi o ilustracje, to tylko piórkowe". Uspokojony mymi zapewnieniami, począł zwierzać się ze swoich dalszych planów.

— W ciągu półwiecza — mówił — napisałem ponad 1000 sonetów, które podzieliłem na cykle. — To, co ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, stanowi jeno cząstkę mojego dorobku poetyckiego. Reszta spoczywa w rękopisie. Po śmierci, może wyjdą inne tomy. Pana bardzo proszę, jako swojego starego i wypróbowanego przyjaciela, o opiekę nad tą spuścizną. Odchodząc będę miał przeświadczenie, że praca moja nie poszła na marne. A w ostatnich latach byłem ogromnie zatroskany o przyszłość mojej poezji. Sądziłem, że nie da się jej uratować od zagłady. To, co stworzyłem w takim serdecznym bólu i męce, o chłodzie i głodzie, może stać się pastwą płomieni. Pamięta pan, że nikt się tym nie interesował? Próbował pan poruszyć niebo i ziemię. W latach poprzedzających ostatnią wojnę apelował pan za pośrednictwem „Zielonego Sztandaru" do społeczeństwa. Po 45 roku pisał pan o mnie w „Zdroju". I co z tego? Nikt nie zareagował na ten apel. Panowało głuche, złowrogie milczenie.

— Tak było istotnie. Wszelkie apele trafiały w próżnię, pozostawały bez echa. Ale czasy te minęły bezpowrotnie. Dzisiaj poezja pana wzbudziła ogromne zainteresowanie. Dowodem tego są liczne artykuły w prasie codziennej i literackiej, omawiające twórczość pana. Państwo odznaczyło pana Złotym Krzyżem Zasługi, przyznało stałą rentę. A w pierwszym kwartale 57 roku ukażą się nakładem LSW wiersze. Teraz może pan być pewny, że praca całego życia nie pójdzie na marne. Dorobek pański stał się własnością społeczeństwa.

— Cieszę się, proszę pana. I chciałbym żyć, by ujrzeć swoją pierwszą w 86 roku życia książkę. Nie wie pan, jak bardzo czekam na nią. Będzie to najszczęśliwsza chwila, jaką kiedykolwiek przeżyłem.

— Rozumiem.

Siedział przede mną zgrzybiały, mocno już pochylony starzec, patrząc przed siebie zaczerwienionymi, nic nie widzącymi oczyma. Oczy te spoczywały na mnie. Czułem, że przenikają mnie na wylot. Prowokują do wypowiedzi. Podniosłem wzrok na tę twarz, zmiętą, zszarzałą, ale pełną ukrytych myśli i przedziwnej głębi. Bruzdy i zmarszczki zlewały się z sobą, tworząc siatkę dokoła ust, na brodzie i czole. „Ślepy Homer", pomyślałem. Nad nim wisiał niewielkich rozmiarów portret Bolesława Prusa, ulubionego autora Bojarczuka.

— Ciągle nie rozstaje się pan z Prusem? — zagadnąłem.

— Jest to miłość aż do grobowej deski — odparł poeta. — Czytamy z synem „Pałac i ruderę". Niedawno skończyliśmy „Lalkę". Co to za pisarz i jaki obserwator życia! Wie pan, że nieraz przypominając sobie młodość i czasy męskie, zatrzymuję się myślą na owych Wielkich Sobotach, podczas których utartym zwyczajem zjawiałem się u pana...

— Pamiętam.

— Do tej pory czuję urok tego dnia. W ciągu naszej długiej znajomości Bojarczuk często mnie odwiedzał. Ale każdego roku przychodził w Wielką Sobotę, świeży, świątecznie ubrany i jakiś namaszczony zbliżającym się Zmartwychwstaniem. Długo gawędziliśmy, poeta czytał mi swoje wiersze. Tłumaczył, że jest antyklerykałem, ale kocha liturgię Wielkiego Tygodnia. Bo jest pełna poezji. Wyjątkowa.

— Gadaliśmy wtedy, a gadali — mówił — a potem wędrowaliśmy na zazielenione pola, gdzie wyśpiewywały już skowronki. Co to była za chwila! Człowiek wdychał w siebie poezję. Wie pan, nieraz zamykam oczy i widzę odpust w Gorzkowie na św. Stanisława. Chodziłem tam z gronem kolegów i dziewcząt wiejskich. Czuję zapach bzu i czeremchy. Dzwoni mi w uszach radosny śpiew. Boże, to była młodość!

To było moje ostatnie spotkanie z Bojarczukiem. Po przybyciu do Lublina otrzymałem korektę wierszy sędziwego poety. Raz jeszcze zagłębiłem się w pięknie tej niezwykłej poezji i z radością witałem każdy złożony wiersz, każdą udaną strofę. Napotkawszy „Żarna", przeczytałem:

Żarna już nie istnieją. Nowsze [pokolenie
Już nie będą wiedziały co to żarna [znaczy
A mnie żarna śpiewają, a mnie [żarna płaczą
I myślę, że przy końcu mojego [istnienia
Może by lżej mi było tam, przy [życia skonie
Zasypiać snem wieczności przy ich [smętnym tonie

Stanisław Bojarczuk nie żyje. Skosiła go śmierć, zanim doczekał się plonów. Nie ujrzy już swoich wierszy, które ukażą się w pierwszym kwartale br. Ale niechaj to wspomnienie będzie pierwszym liściem wawrzynu, złożonym ręką ucznia i przyjaciela na jego mogile.

Józef Nikodem Kłosowski

Pamięć serdeczna

(Dokończenie ze str. 11)

wskrzesić w oczach czytelnika, zafrapować jego intelekt, wzruszyć uczucie.

Myślę, że walnie przyczyniają się do tego kryteria selekcji, jakiej podlega u Dąbrowskiej dawność. Szczególnie dotyczy to ludzi, którzy — mimo całej pozornej chaotyczności w ich wspomnieniowym doborze — są ze sobą blisko złączeni, nieledwie spokrewnieni. Właściwie, są to postacie podobne do bohaterów *Nocy i dni*, *Ludzi stamtąd*, *Gwiazdy zarannej*: ludzie mało wyjątkowi i oryginalni w swoich życiowych perypetiach, którzy jednak potrafią pozostawić w pamięci swoich współczesnych i potomnych coś, co może być uważane za zadatek na wieczność i na nieśmiertelność. W wypadku pisarzy czy pamiętnikarzy — będą to ich książki, w wypadku ludzi, dzieci, a nawet zwierząt dzieciństwa Dąbrowskiej — będą to ich myśli i uczucia, nieważne z pozoru uczynki i serdeczne odruchy. To, czym się wszyscy oni zapisali w pamięci autorki wspomnień, zostaje przez nią odtworzone z jakąś dziwną, a wyraźnie wyczuwalną wdzięcznością.

Skąd ta wdzięczność? Wydaje się, że — wbrew moim zastrzeżeniom poczynionym na wstępie — w obu książkach Dąbrowskiej obcujemy w najbardziej intymny i bezpośredni sposób z tym, co ukształtowało jej pisarską sylwetkę, jej artystyczną, a przede wszystkim ludzką wrażliwość i czułość na świat i człowieka. Jest bez wątpienia winą wielu uczonych opracowań krytyczno- i historyczno-literackich, że wpływ osobistych przeżyć pisarza na jego dzieła ujmuje się zazwyczaj i pokazuje w prostych, aż prostackich sprzężeniach przyczynowo skutkowych typu: Mickiewicza spotkała klęska w jego miłości do Maryli Wereszczakówny, a zatem stworzył on postać nieszczęśliwego kochanka w IV Części *Dziadów*. Tymczasem osobiste perypetie artysty są ważne przede wszystkim z tego względu, że wyrabiają i precyzują jego aparat poznawczy, określają lub modyfikują dyspozycje twórcze, ustalają sposób obrazowania, styl, a nawet słownictwo. Stąd wdzięczność Dąbrowskiej dla wszystkiego i wszystkich, którzy rozszerzyli i wzbogacili jej umysł i serce.

Dziedziną życia jednostkowego i społecznego, która stała się najserdeczniej bliska Dąbrowskiej w ciągu dotychczasowego życia, jest niewątpliwie kultura rozumiana przez nią bardzo szeroko jako to wszystko, czym człowiek zapisuje się d o b r z e we wspomnieniach innych. W poglądach Dąbrowskiej na kulturę, w szczególności zaś na historię i literaturę, odbija się przejrzyście najpiękniejszy przymiot poznawczej, intelektualnej wrażliwości autorki *Myśli o sprawach i ludziach*: umiarkowany racjonalizm i empiryzm Dlaczego to wszystko, co pisarka wypowiada o twórcach i dziełach literackich (przeważnie — nie zapominajmy — w czasach schematyzmu, szalejącego w naukach humanistycznych) — jest przyjmowane przez nas na ogół nie tylko z zainteresowaniem, ale i aprobatą, a nawet podziwem, który powstaje tylko wtedy, gdy ktoś inny potrafi jasno i pięknie wypowiedzieć koncepcje wrośnięte nieledwie w naszą świadomość? Otóż właśnie dla znamiennego i wyraźnego szacunku pisarki dla faktów i konsekwentnego liczenia się z nimi w budowaniu, względnie rozbudowywaniu hipotez. Dąbrowska wykazuje w swoich *Myślach* wyjątkową dyscyplinę badacza kultury, nieskażoną przy tym jakże częstym u kulturo- i literaturo-znawców profesjonalizmem i skostniałością rozumowania. *Myśli o sprawach i ludziach* są żywymi, młodymi myślami...

Pewnie, że do sugestywności wspomnień Dąbrowskiej przyczynia się niewątpliwie wyrażający je klarowny — często poetycki — język, prosta a mądra kompozycja, rzadka zdolność zgrania tematu z jego artystyczną formą. Ale nie to jest najważniejsze przy ocenie miejsca i trwałości *Uśmiechu dzieciństwa* i *Myśli o sprawach i ludziach* w całokształcie dorobku literackiego autorki *Nocy i dni*. Obie te niewielkie książeczki stanowią przede wszystkim cenny i wzruszający dowód pamięci serdecznej, z której — daj Boże — wyłoni się jeszcze niejedno dzieło radujące wszystkich przyjaciół Marii Dąbrowskiej — pisarza i człowieka.

Zbigniew Pędziński

*) *Maria Dąbrowska: U ś m i e c h d z i e c i ń s t w a, Warszawa, 1956, Iskry, s. 126, 2 nlb.*

M y ś l i o s p r a w a c h i l u d z i a c h. Warszawa, 1956, Czytelnik, s. 231, 1 nlb.

O czym pisała „Kamena" przed 20 laty

Podwójny numer „Kameny" (styczeń — luty 1937) poświęcony był w całości literaturze tatrzańskiej. Zawierał artykuł Hanny Marczewskiej „Asnyk i Kasprowicz jako poeci Tatr", wiersze tatrzańskie Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Ludwika Świeżawskiego, Włodzimierza Pietrzaka, Tadeusza Bocheńskiego, Stanisława Bąkowskiego, Mirosława Stefana Radeckiego, Ignacego Igonia, Bronisława Krystyna Wierzejskiego i Jerzego Kamila Weintrauba. Prozę reprezentowali Maria Szczepańska, Jan Alfred Szczepański, Tadeusz Bocheński i K. A. Jaworski. Prócz tego w zeszycie tym ukazały się wiersze górskie A. Puszkina, Jana Smreka, Liudo Ondrejova, Osypa Makoweja, Rose Bailly, Martina Greila i Conrada Ferdinanda Meyera w tłumaczeniach Tadeusza Bocheńskiego, Antoniego Brosza, K. A. Jaworskiego i Zenona Waśniewskiego. W notach omawiano m. in. literaturę alpinistyczną i tatrzańską, śmierć Miguela de Unamuno i antysemickie wystąpienia autora rubryki „Szczotką ryżową" w „Prosto z mostu".

Książki nadesłane

Wydawnictwa „Naszej Księgarni"

A l e x W e d d i n g: W i e l k a p r z y g o d a K a c p r a S c h m e c k a, z niemieckiego przełożył Juliusz Stroynowski, ilustracje Bożeny Truchanowskiej i Wiesława Majchrzaka, Warszawa 1956.

M a r c e l l o A r g i l l i: D r u ż y n a z V a l l e s c u r a, z włoskiego przełożyła Barbara Sieroszewska, ilustracje Mieczysława Majewskiego, Warszawa 1956.

L e w K a s s i l: B a r w y w s c h o d z ą c e g o s ł o ń c a, z rosyjskiego przełożyli Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeitzer, Warszawa 1956.

W ł o d z i m i e r z M a j a k o w s k i: W i e r s z e d l a d z i e c i, z rosyjskiego przełożyli Władysław Broniewski, Artur Sandauer i Anatol Stern, ilustracje Andrzeja Jurkiewicza, Warszawa, 1956.

Odpowiedzi Redakcji

P. P.

M a r. J e ż. w L u b l i n i e. Trawestacja „Pana Tadeusza" bardzo interesująca. Kto jest autorem tego „fragmentu wygrzebanego z żółknących papierów?" Zapewne to już było gdzieś drukowane?

N e m o z B i e l a w y. Z geometrii piątka. Ale co mamy robić z tym tantem?

T. K u r. w N o w y c h T y c h a c h. Czyż koniecznie trzeba pisać wierszem? Nie lepiej to czytać piękną poezję?

A l e k s. L e d. w Z i e l o n e j. Zatrzymujemy do ewentualnego wykorzystania wiersz „Światła".

S t e f. D ą b k. Proszę się nie zrażać. Wciąż mamy wrażenie, że stać Pana na lepszy wiersz, którym mógłby Pan zadebiutować w „Kamenie".

J a n S o b. w P o ś w i e t n e m. W krócciutkim wierszu „Pogrzeb" najlepszy ostatni dwuwiersz: „Niosą trumnę — List drewnianą kopertę z sośniny — adresowany w dolinę milczenia".

P o l o n u s w P a r c z e w i e. Zgadzając się w zupełności z nastawieniem Pańskich wierszy, nie możemy pochwalić ich formy. Zbyt wiele prozaizmów, wytartych metafor (np. „krwią użyźniliśmy ziemię", „burze dziejowe przeżyła nasza Matka") wymuszonej sztuczności (np. „grzanie w dłoniach przekonań napotkanych"). Stosunkowo może najlepszy wiersz „Nowa epoka", ale jeszcze nie dla nas. Prosimy nie zrażać się.

B a r b. P a l. Z nadesłanych drobiazgów najlepszy trzeci „Śmietniczka na ulicy". Na razie nie dla nas.

M. K o l a s. we W r o c ł a w i u, S z y m o n W a p. i W a l. Z e k. K o m p. w W a r s z a w i e. Słabe.

Redakcja nie odsyła nie zamówionych artykułów. Odpowiedzi udziela jedynie w powyższej rubryce.

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest do 10-go dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 376. 10.I.57. 2.500. — A-12.